



ANTOINE LAURAIN

Kobieta
z czerwonym
notatnikiem

ANTOINE LAURAIN

Kobieta
z czerwonym
notatnikiem

Przełożyła Ewa Kaniowska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Taksówka wysadziła Laure na rogu bulwaru. Od domu dzieliło ją tylko pięćdziesiąt metrów. Ulicę oświetlały latarnie. Zabarwiały fasady budynków pomarańczowym światłem, ale i tak się bała, jak zawsze w środku nocy. Odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła. Światła z hotelu naprzeciwko zalewały kawałek chodnika między dwoma krzewami w donicach, które wyznaczały wejście do trzygwiazdkowego przybytku. Zatrzymała się przed drzwiami i rozsunęła suwak torebki, żeby poszukać pęku kluczy z chipem. A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jakaś ręka złapała za pasek jej torebki, ręka, która pojawiła się znikąd, ręka należąca do ciemnowłosego mężczyzny w kurtce. Wystarczyła sekunda – strach popłynął wszystkimi żyłami i dotarł prosto do serca, żeby tam wybuchnąć lodowatym dreszczem. Odruchowo złapała za torebkę. Mężczyzna spróbował ją wyrwać. Kiedy poczuł opór, przycisnął dłoń do jej twarzy i uderzył jej głową o metalowe drzwi. Zachwiała się od ciosu, przed oczami zabłyśły jej drobinki światła podobne do unoszących się w powietrzu robaczków świętojańskich, jej klatką piersiową wstrząsnął dreszcz, a palce wypuściły torebkę. Pasek zatoczył w powietrzu koło, mężczyzna uśmiechnął się triumfalnie – i uciekł. Stała oparta o drzwi i śledziła wzrokiem rozplywającą się w mroku sylwetkę. Jej płuca rytmicznie wciągały tlen, gardło płonęło, brakowało jej śliny – butelka wody została w torebce. Wbiła kod na domofonie, ostatkiem sił popchnęła drzwi plecami i wślizgnęła się do środka.

Drzwi ze szkła i czarnego metalu oddzieliły ją od świata. Powoli usiadła na marmurowym stopniu i zamknęła oczy. Czekwała, aż jej mózg się uspokoi i zacznie funkcjonować normalnie. Zdania: „Zostałam napadnięta”, „Umrę”, „Ukradziono mi torebkę”, „Nie jestem ranna”, „Żyję” znikwały jedno po drugim jak gasnące kolejno kontrolki bezpieczeństwa w samolocie. Podniosła wzrok i spojrzała na skrzynki na listy. Na jednej z nich widniało jej imię, nazwisko i informacja: V piętro po lewej. Była druga nad ranem, nie miała kluczy. Nie dostanie się do mieszkania na piątym piętrze po lewej. Ten bardzo konkretny fakt nabierał w jej umyśle kształtu: nie mogę wejść do domu, skradziono mi torebkę. Nie mam jej, już nigdy jej nie zobaczę. Jakaś część jej samej zniknęła – nagle, brutalnie. Rozglądała się wokół, jakby jej torebka mogła się gdzieś zmaterializować, wymazać to, co się przed chwilą stało. Ale nie, już jej nie było. Była gdzieś daleko, na ulicy, wyszarpięta z jej rąk, podskakiwała na ramieniu biegnącego mężczyzny, który później ją otworzy i znajdzie jej klucze, dokumenty, wspomnienia. Całe jej życie. Palące łyzy podeszły jej do oczu. Bała się, była w rozpacz, była zła. Trzęsły jej się ręce, zdawało jej się, że nigdy nie przestaną. Kark bolał coraz bardziej. Dotknęła palcami tyłu głowy – krwawiła, a paczka chusteczek oczywiście została w torebce.

Pierwsza pięćdziesiąt osiem nad ranem: nie do pomyślenia, żeby o tej porze dzwonić do kogoś z sąsiadów. Nawet do tego miłego faceta, którego nazwiska nie pamiętała, a który właśnie wprowadził się na drugie piętro i robił komiksy. Jedyne rozwiązanie był hotel. Światło na klatce zgasło. Po omacku znalazła włącznik. Kiedy znów się zapaliło, poczuła lekki zawrót głowy i przytrzymała się ściany. Musiała się pozbierać, pójść do hotelu i poprosić, żeby pozwolili jej przenocować. Wyjaśni, że mieszka naprzeciwko i zapłaci rano. Miała nadzieję, że nocny portier okaże się wyrozumiały, bo nie miała innego pomysłu. Kiedy otworzyła ciężkie drzwi, przeszył ją dreszcz. Nie z powodu nocnego chłodu. To był nieokreślony lęk, jakby fasady budynków wchłonęły coś z tego, co się przed chwilą stało, jakby tamten człowiek miał się w jakiś magiczny sposób wyłonić z murów. Rozejrzała się. Było pusto. Napastnik z pewnością nie wróci, ale nad strachem czasem trudno zapanować, a odróżnienie tego, co irracjonalne, od tego, co możliwe, o drugiej nad ranem nigdy nie jest łatwe. Przeszła na drugą stronę ulicy. Odruchowo chciała przycisnąć do siebie torebkę, ale między biodrem a przedramieniem znalazła tylko pustkę. Weszła w krąg światła przed zadaszonym wejściem do hotelu. Przesuwne drzwi otworzyły się przed nią bezgłośnie. Siedzący za kontuarem siwowłosa mężczyzna spojrzał na nią.

Zgodził się dać jej pokój. Wprawdzie niechętnie, ale kiedy zaczęła zdejmować złoty zegarek, żeby go zostawić jako zabezpieczenie, powstrzymał ją gestem. Najwyraźniej przestraszona młoda kobieta mówiła prawdę. Na pewno nie próbowała go naciągnąć. Prawdopodobieństwo, że wróci i zapłaci za nocleg, oceniał na dziewięćdziesiąt procent. Podała mu imię, nazwisko i adres. Miewali o wiele większe problemy z płatnościami. Jedna noc dla samotnej kobiety, która twierdzi, że od piętnastu lat mieszka naprzeciwko, to nic takiego. To prawda, telefon do przyjaciół, u których spędziła wieczór, byłby jakimś rozwiązaniem, tylko że numer miała w komórce. Odkąd upowszechniły się telefony z listami kontaktów, znała na pamięć tylko dwa numery: do siebie i do pracy. Pomysłu ze ślusarzem, który podsunął jej recepcjonista, też nie mogła zrealizować. Skończyła jej się książeczka czekowa i za późno zamówiła następną. Odbierze ją z banku dopiero na początku przyszłego tygodnia. Karta płatnicza i czterdzieści euro w gotówce zostały w portfelu. Nie miała jak zapłacić. Niesamowite, jak w tej sytuacji mnóstwo szczegółów, które normalnie nie miały znaczenia, nagle jakby sprzysięgło się przeciwko niej. Poszła za portierem do windy, a potem korytarzem do pokoju numer pięćdziesiąt dwa, z widokiem na ulicę. Zapalił światło, szybko pokazał jej łazienkę i ubikację i wręczył klucz. Podziękowała i jeszcze raz obiecała, że zapłaci. Portier uśmiechnął się do niej życzliwie, trochę już znużony wysłuchiowaniem tego samego po raz pięćdziesiąty.

– Wierzę pani, dobranoć.

Ruszyła do okna i odsunęła zasłony. Stała dokładnie naprzeciwko własnych okien. Lampy w salonie zostawiła zapalone. Postawiła krzesło przy oknie, żeby Belphégor mógł wyglądać. Dziwnie było oglądać z tej perspektywy własne mieszkanie. Miała wrażenie, że zaraz zobaczy samą siebie przechodzącą przez

pokój. Otworzyła okno.

– Belphégor... – zawołała półgłosem. – Belphégor... – Zacmokała. Cichy, charakterystyczny odgłos, który tak dobrze znają wszyscy właściciele kotów.

Kilka sekund później na krześle pokazał się czarny kształt. Para żółtych oczu spojrzała na nią zaskoczona. Dlaczego pani jest naprzeciwko, a nie w mieszkaniu?

– Hej, to ja, tak, tutaj jestem... – zawołała i pomachała.

Postanowiła się położyć. W łazience znalazła chusteczki i przemyła odrobiną wody skaleczenie nad karkiem. Kiedy się pochyliła, zakręciło jej się w głowie. Jedyna dobra wiadomość była taka, że chyba przestała krwawić. Wzięła gruby ręcznik, położyła go na poduszce i rozebrała się. Wyciągnęła się na łóżku. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie odtwarzać w kółko sceny napaści. Wydarzenie, które trwało najwyżej kilka sekund, teraz, we wspomnieniach, ciągnęło się w nieskończoność. Dłuższe i bardziej rozciągnięte niż kinowe sekwencje w zwolnionym tempie. Jak sceny z filmów dokumentalnych pokazujące manekiny w zderzeniach samochodów w warunkach laboratoryjnych. Widać wewnątrz, przednia szyba eksploduje jak pionowa tafla wody, głowy manekinów płyną miękko do przodu, poduszki powietrzne puchną jak balony z gumy do żucia, blacha zgniata się delikatnie, jakby pod wpływem łagodnego ciepła.

Laurent musiał zrezygnować z ogolenia się przed lustrem w łazience. Elektryczna golarka, której warkot umilał mu wszystkie poranki, włączyła się, wydała agonalny pomruk i ostatecznie zamilkła. Mógł sobie do upadłego wciskać włącznik, poklepywać ostrza, wyciągać i wkładać wtyczkę do gniazdka – jego golarka Braun 860 z potrójną głowicą wyzionęła ducha. Bardzo go to zmartwiło. I jakoś nie mógł się zdecydować, żeby ją wyrzucić. Nie w tej chwili. Odłożył ją ostrożnie do wielkiej muszli przydaczni, którą przywiózł z Grecji przed dziesięcioma laty. Jednorazowa maszynka Gillette walająca się w szufladzie też nie na wiele mu się przydała, bo tymczasem spotkała go następna niespodzianka: kiedy odkręcił kran, usłyszał tylko posepny syk. Nie było wody. Karteczka z informacją, że ją wyłączą, wisiała w holu od tygodnia, ale on oczywiście o tym zapomniał. Przyjrzał się sobie w lustrze. Nieogolony mężczyzna z mocno potarganymi włosami – to od przykrywania głowy poduszką. W czajniku zostało trochę wody – akurat na jedną kawę.

Wychodząc z budynku, rzucił okiem na metalową elektryczną żaluzję w oknie swojego sklepu. Normalnie o tej porze przekreślałby klucz w jej zamku i otwierał księgarnię. Pozdrowiłby skinieniem głowy sąsiada, Jeana Martela (Czas Utracony – antyki, starocie, skup, sprzedaż), siedzącego przy stoliku w ogródku kawiarni Jean-Bart nad kawą ze śmietanką. Pomachałby sąsiadce z pralni chemicznej (Biały Gołąb – pranie na najwyższym poziomie), a ona pomachałaby do niego zza szyby, a potem, kiedy żaluzja byłaby już w górze, rytualnie zerknąłby na własną wystawę z książkami poustawianymi według kategorii: Książka na jesień, Albumy i bestsellery, Nasze ulubione i Nie możesz przegapić. O dziesiątej trzydzieści przyszlaby Maryse, potem Damien. W komplecie zaczęliby kolejny dzień od otwierania kartonów od dostawców. Potem zjawiliby się pierwsi klienci z najróżniejszymi pytaniami: „Szukam książki, nie znam ani autora, ani wydawcy, ale akcja toczy się w czasie drugiej wojny światowej”. Sugestia: „Pani Berthier, to powieść dla pani, jeśli szuka pani czegoś lekkiego, żeby się rozerwać, daję słowo, musi pani poznać tego autora”. Zamówienia: „Dzień dobry, tu księgarnia Czerwony Zeszyt, potrzebne mi trzy egzemplarze *Don Juana* Molièra w wydaniu kieszonkowym, z serii »Lektury szkolne«”. Zwroty: „Dzień dobry, tu Czerwony Zeszyt, jestem zmuszony odesłać wszystkie cztery egzemplarze *Smutku lata* Mallarmégo, nikt tego nie kupił”. I planowanie wieczorów autorskich: „Dzień dobry, tu Laurent Letellier z księgarni Czerwony Zeszyt, chciałbym się dowiedzieć, czy będzie możliwe zorganizowanie spotkania z waszym autorem”.

Kiedy kupił ten lokal, mieściła się w nim dogorywająca kawiarnia Celt. Prowadziło ją starsze małżeństwo. Marzyli tylko o tym, żeby wrócić do Owernii. Laurent okazał się ich nieoczekiwanym wybawieniem. Kawiarnia miała tę zaletę, że należało do niej mieszkanie znajdujące się piętro wyżej. Z pewnością można było dzięki temu oszczędzić czas, bo droga do pracy radykalnie się skracała. Druga strona medalu była jednak taka, że nigdy nie opuszczało się miejsca pracy.

Laurent przeciął skwer, na który wychodziły okna Czerwonego Zeszytu, i ruszył ulicą Pentille. W rękę trzymał *Z niebem zamiast dachu*, ostatnią powieść Frédéricica Pichiera. W przyszłym tygodniu pisarz miał wieczór autorski w jego księgarni. Laurent miał nadzieję, że zdąży przejrzeć notatki, które porobił na marginesach książki, kiedy czytał ją nad podwójnym espresso w ogródku Nadziei, kawiarni, do której często zachodził przy okazji porannych spacerów. Książka opowiadała o losach młodej wieśniaczki w czasie pierwszej wojny światowej. Była to czwarta powieść Pichiera. Rozsławiły go *Łzy piasku*, historia francuskiego żołnierza, który podczas wyprawy Napoleona do Egiptu zakochuje się w młodziutkiej Egipcjance. Miał prawdziwy dar wpisywania perypetii swoich bohaterów w wielkie wydarzenia historyczne. Krytycy nie bardzo wiedzieli, od której strony go ugryźć: jest po prostu świetnym gawędziarzem czy pisarzem z prawdziwego zdarzenia? To nie było jasne. Tak czy owak powieść świetnie się sprzedawała. Spotkanie z autorem z pewnością będzie sukcesem. Kiedy tak szedł, dostał SMS od Maryse. Kolejka, którą dojeżdżała z przedmieść, zatrzymała się w środku trasy. Możliwe, że nie zdąży do pracy. „Proszę mnie informować, Maryse”, odpowiedział i skręcił w ulicę Vivanta-Denona. Przy numerze szóstym podniósł wzrok, żeby sprawdzić, czy jego klientka, pani Merlier, odsłoniła okna. Starsza pani, nałogowa czytelniczka, zdumiewająco podobna do nieżyjącej już aktorki Marguerite Moreno, wstawiała o świcie. „Jeśli nie odsłonię okien, panie Letellier, to znaczy, że nie żyję albo jestem umierająca”, powiedziała mu pewnego dnia. Ustalili, że jeśli kiedyś zobaczy zamknięte okiennice, zadzwoni pod numer alarmowy. Ale pod szóstką wszystko było w porządku – okiennice były otwarte. Zresztą tylko tam – inni mieszkańcy najwyraźniej korzystali z sobotniego poranka, żeby nadrobić zaległości w spaniu. Dzielnica była opustoszała. Ruszył dalej, ulicą Passe-Musette. Kawiarnia Nadzieja mieściła się na końcu, sąsiadowała z weekendowym targiem. Przed każdą bramą stały pojemniki na śmieci. Niektórym towarzyszyły pojedyncze zużyte meble. Czekwały na wywóz. Minął jeden z pojemników i zwolnił – ten obraz potrzebował kilku chwil, żeby się odcisnąć w jego umyśle – i zawrócił.

Na pokrywie śmietnika stała damska torebka. Skórzana, jasnofioletowa, w bardzo dobrym stanie. Z mnóstwem kieszonek i zamków błyskawicznych, z długimi uszami, paskiem na ramię i połączanymi klamerkami. Rozejrzał się odruchowo, co było dość absurdalne – przecież właścicielka nie zmaterializuje się zniemacka, żeby odebrać swoją własność. Skórzana torebka stała pewnie, nie wyglądała na pustą. Gdyby była opróżniona i zużyta, właścicielka z pewnością wrzuciłaby ją do pojemnika, a nie położyła na pokrywie. Zresztą czy kobiety wyrzucają torebki? Pomyślał o tej, z którą

przez dwanaście lat dzielił życie. Nie, Claire nigdy nie wyrzuciła żadnej. Miała ich kilka i zmieniała je zależnie od pory roku. Butów też nie wyrzucała. Jeśli paski w czółenkach się zniszczyły, naprawiała je u szewca. Czasem szewc nie mógł nic poradzić, ale Laurent i tak nigdy nie widział butów w kuchennym koszu na śmieci, wśród odpadków. Znikały w bardziej tajemniczy sposób. Niezależnie od tych refleksji z poprzedniego życia było przecież możliwe, że jakaś kobieta pozbyła się torebki. Z drugiej strony to, że torebka w idealnym stanie stoi na pokrywie pojemnika na śmieci, zdawało się raczej oznaczać coś niepokojącego. Na przykład kradzież. Rozważył tę możliwość. Rozpiął zamek i od razu się zorientował, że torebka jest pełna osobistych drobiazgów. Zaczął je przeglądać. Z bramy wyszła jakaś kobieta, ciągnęła za sobą walizkę na kółkach. Minęła go, przeszła kilka kroków i się odwróciła. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, trochę przyspieszyła, a potem zniknęła za rogiem. W tym momencie zdał sobie sprawę, jak bardzo mogło się to wydawać podejrzane: samotny mężczyzna, nieogolony i nieuczesany, przeglądający zawartość damskiej torebki na pojemniku na śmieci... Szybko zasunął zamek. Pytanie, przed którym stanął, dotyczyło kwestii moralnych: wziąć torebkę ze sobą czy po prostu, jak gdyby nigdy nic, wrócić do swoich spraw? Gdzieś w tym mieście jakaś kobieta z pewnością została okradziona i prawdopodobnie już straciła nadzieję, że odzyska swoją własność. Tylko ja wiem, gdzie jest jej torebka, pomyślał, i jeśli ją zostawię, trafi na wysypisko albo ktoś ją sobie przywłaszczy. Podjął decyzję: złapał torebkę i ruszył przed siebie. Komisariat jest zaledwie dziesięć minut dalej. Zaniesie ją tam, wypełni jeden czy dwa formularze i pójdzie do swojej kawiarni.

Dziwne uczucie. Jakby się prowadziło psa, którego ktoś nam powierzył i który wlecze się za nami niechętnie. Ścisnął pasek jak smycz, owinał go sobie wokół dłoni, żeby torebka nie kołysała się zbyt ostentacyjnie przed oczami innych przechodniów. Niósł coś, co nie należało do niego i co nie powinno wisieć na jego ramieniu. Kolejna kobieta zerknęła na torebkę, a potem na niego. Szedł bulwarem i wstydził się coraz bardziej. Wydawało mu się, że wszyscy, których mijają, zerkają na niego kątem oka i od razu rozumieją, co jest nienormalnego w tym widoku: mężczyzna z damską torebką w dłoni. W dodatku jasnofioletową. Nie spodziewał się, że paradowanie z damskim akcesorium będzie tak niewygodne. Zdarzało się przecież, że Claire dawała mu torebkę do potrzymania, kiedy wracała do domu po papierosy albo wchodziła do toalety napotkanej kawiarni. Wtedy również mijaly go kobiety i rozpoznawały w jego rękach atrybut jednej ze swoich sióstr, ale w ich oczach nie widział nieufności – już raczej błysk sarkazmu. Był mężczyzną stojącym na ulicy i czekającym na swoją partnerkę. To było tak oczywiste, jakby miał na sobie tekturowe wdzianko, jakie noszą ludzie-kanapki, z wypisanym wielkimi literami zdaniem „Moja żona zaraz wróci”. Grupa młodych dziewczyn, licealistek w dżinsach i conversach, zablokowała mu drogę: coś powiedziały i wybuchnęły śmiechem. To z niego się śmiały? Wolał nie wiedzieć. Nabijały się z niego, bo wyglądał podejrzanie? Skręcił, żeby nie iść bulwarem. Postanowił dotrzeć do komisariatu bocznymi uliczkami.

Poczekalnię z nierówno otynkowanymi ścianami oświetlało pojedyncze okno z matową szybą, bez klamki. Plastikowe krzesła, laminowany stół i dwa pokoje z szeroko otwartymi drzwiami. Wyglądało na to, że zgłoszenia kradzieży dotyczą głównie damskich torebek. Pięć kobiet w różnym wieku w milczeniu czekało na swoją kolej. W jednym z pokoi starsza pani z laską opowiadała, szlochając, jak ukradziono jej torebkę. Na łuku brwiowym miała szeroki plaster. Towarzyszący jej siwy mężczyzna był tak zmieszany, że nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Laurent pomyślał, że znalazł się w jednym z ziemskich czyściców – tych miejsc, do których mamy nadzieję nigdy nie trafić: szpitalny oddział ratunkowy, pokój celników na lotnisku, noclegownia dla bezdomnych... Miejsc, które mijamy z myślą, że lepiej nam tam, gdzie jesteśmy, na zewnątrz, i to nawet kiedy pada deszcz.

– W każdym razie już nie zobaczymy swoich torebek – powiedziała głośno drobna brunetka czytająca „Voici”.

Przez poczekalnię przeszedł młody funkcjonariusz z grubym naręczem kserówek.

– Przepraszam – powiedział Laurent. – Przyniosłem torebkę.

Pięć czekających kobiet podniosło wzrok.

– Niech pan porozmawia z którymś z moich kolegów – rzucił pośpiesznie policjant, wskazując na jeden z pokoi.

Potężny mężczyzna z ogoloną głową i małymi, głęboko osadzonymi oczkami wstał, żeby odprowadzić starszą panią do drzwi. Spojrzał na Laurenta pytającym wzrokiem, a ten uniósł torebkę.

– Przyniosłem torebkę. Znalazłem ją na ulicy.

– A to piękny obywatelski gest – powiedział policjant. Głos miał niski, męski. – Amélie, chodź zobaczyć! – zawołał.

Krągła, niska blondynka wyszła z tego samego pokoju. Podeszła do nich.

– Właśnie mówiłem temu panu, który przyniósł nam znaną torebkę, że to piękny obywatelski gest. – Wyraźnie lubił to sformułowanie.

– Ach tak, to bardzo ładnie z pana strony – powiedziała Amélie z entuzjazmem. Była pod wrażeniem: mężczyzna, który poświęcił czas, żeby odnieść na komisariat znaną damską torebkę.

– Jak pan na pewno zauważył – podjął z lekkim znużeniem policjant – te panie czekają, więc będę do pańskiej dyspozycji za jakąś... godzinę – powiedział, zerkając na zegarek.

– Jak dobrze pójdzie – dodała cicho Amélie.

Jej kolega skinął głową.

– To może wróć jutro rano? – zasugerował Laurent.

– Jak pan woli. Zgłoszenia przyjmujemy między dziewiątą trzydzieści a trzynastą i między czternastą a piętnastą – powiedział funkcjonariusz.

– Może pan też pójść do biura rzeczy znalezionych, ulica Morillons trzydzieści sześć, w piętnastej

dzielnicy – zaproponowała policjantka.

Kiedy wyszedł, znów dostał SMS od Maryse. Jej pociąg dopiero ruszył po długim postoju. Na pewno nie zdąży otworzyć księgarni. Laurent minął szybkim krokiem kawiarnię Nadzieja – swoje notatki z lektury książki Pichiera przeczyta w pracy. W uliczce, przy której znalazł torebkę, stała zielona śmieciarka. Dwóch młodych mężczyzn ze słuchawkami na uszach ładowało pojemniki na wywrotkę. Opróżniały się z łoskotem. Było jasne, że jeszcze kilka minut i fioletowa torebka zmieniłaby właściciela albo dokonała żywota na wysypisku, pod gołym niebem, mając mewy za jedynych świadków. Laurent, jej tymczasowy strażnik, wrócił do domu, położył ją na kanapie i zszedł na dół otworzyć księgarnię. Zaczynał się kolejny dzień.

O dwunastej trzydzieści dwóch recepcjonistów z dziennej zmiany zaczęło się niepokoić. Nocny portier zostawił im wiadomość: w nocy wynajęła pokój niecodzienna klientka. Już dawno powinna go opuścić, doba hotelowa kończy się w południe. Jeden z nich postanowił do niej zajrzeć. Wszedł na górę, stanął przed drzwiami z numerem pięćdziesiąt dwa i przyłożył do nich ucho, nasłuchując odgłosu prysznic. Nie wchodzi się do pokoju kobiety, jeśli jest ryzyko, że wyjdzie z łazienki naga. Raz mu się to zdarzyło i nie miał zamiaru tego powtarzać. Ale z pokoju numer pięćdziesiąt dwa nie dochodził żaden dźwięk. Zapukał kilka razy. Nikt się nie odezwał, więc postanowił użyć swojej karty i wejść.

– Proszę pani, tu recepcjonista – powiedział, zapalając światło. – Nie zwolniła pani pokoju, więc pozwalam sobie... – przerwał w pół zdania.

Laure leżała na łóżku, półnaga, do połowy przykryta kołdrą. Oczy miała zamknięte, wyglądała, jakby spała. Podeszedł bliżej.

– Proszę pani! – powiedział głośno. Podeszedł jeszcze bliżej i powtórzył: – Proszę pani! – Wrażenie, że coś w tym pokoju jest nie tak, było teraz wręcz namacalne. – Co jest, do diabła – mruknął pod nosem. – Proszę pani – powiedział znowu, pewien, że jedyną odpowiedzią będzie cisza.

Stanął nad łóżkiem. Twarz śpiącej była zupełnie nieruchoma, regularne rysy – odprężone. Chociaż niepokoił się coraz bardziej, przez głowę przemknęła mu zaskakująca myśl: że jest bardzo ładna. Przywołał się do porządku i skupił na najważniejszym: oddycha? Wydawało mu się, że tak. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Żadnej reakcji. Potrząsnął nią delikatnie.

– Proszę pani...

Oczy nadal miała zamknięte, nie drgnęła nawet o milimetr. Uważnie przyglądał się jej obnażonym piersiom, próbował uchwycić ruchy klatki piersiowej. Tak, w porządku, oddycha. Na balkonie głośno wylądował gołąb. Recepcjonista aż podskoczył. Rozsunął zasłony. Do pokoju wpadło słońce, a ptak odleciał. W oknie naprzeciwko zauważył czarnego kota. Siedział na krześle i przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami. Podniósł słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu i wybrał dziewiątkę, numer recepcji.

– Julien – powiedział. – Mamy problem z klientką spod pięćdziesiąt dwa... – Kiedy to mówił, jego wzrok spoczął na poduszce. Pod głową Laure zauważył dużą plamę krwi. Włosy kleiły jej się do przesiąkniętego czerwienią ręcznika, którym owinięta była poduszka. – Mamy z nią ogromny problem – poprawił się. – Dzwon po pogotowie, szybko.

Pół godziny później Laure opuściła pokój na składanych noszach na kółkach. Przejechała na nich trzydzieści metrów chodnikiem, a potem wniesiono ją do czerwonej karetki. Padły słowa „krwiak”, „uraz czaszki” i „śpiączka”.

Szampon spływał mu po twarzy pod gorącym strumieniem wody z prysznica. W ciągu dnia sprzedał dwadzieścia osiem powieści, dziewięć albumów, siedem powieści dla młodzieży, pięć komiksów, cztery eseje, trzy przewodniki po Paryżu i Francji, wystawił cztery karty lojalnościowe i wysłał czternaście zamówień, i wreszcie mógł zakończyć dzień pracy. Zamknął księgarnię i poszedł na piętro, do domu. Na szczęście włączono wodę. Przez cały dzień w uśmiechach przeproszał za swoją niechlujną fryzurę. Jeden z klientów powiedział mu, że wygląda trochę jak Chateaubriand, inny wskazał na podobieństwo do Rimbauda z obrazu *Róg stolika* Fantina-Latoura, i dodał, że chodzi tylko o włosy poety. Wytarł się ręcznikiem i wyciągnął z szuflady jednorazową maszynkę i piankę do golenia Williams, gratulując sobie w duchu, że jej nie wyrzucił. Dokładnie ogolony, włożył czyste dżinsy, białą koszulę i mokasyny i zaczesał włosy do tyłu – przygotowywał się do otwarcia torebki co najmniej jak do kolacji z nowo poznaną kobietą.

W mailach znalazł całą masę najróżniejszego spamu. W większości zwracano się do niego po imieniu, proponując nową polisę ubezpieczeniową albo zagraniczną wycieczkę – niemiłosiernie drogą, choć za połowę ceny wyjściowej. „Nie zastanawiaj się, jedź” – ponaglano go w jednym. „Laurent, czas zrobić sobie wakacje” – kuszone w innym tonem cyfrowej poufałości. Trafił też na typowe dla internetowych ofert dziwactwo: parasole dla psów. Z największą powagą zachęcano go do jak najszybszego zakupu tego niezbędnego akcesorium: „Twój pupilek będzie Ci za to wdzięczny”. Ani jednej osobistej wiadomości w tej informatycznej dżungli. A przecież miał niedługo zjeść kolację z córką. Na pewno zaraz się odezwie. Chloé nigdy nie zapomina o ich spotkaniach. Wyciągnął z lodówki resztkę mięsno-ziemniaczanej zapiekanki i postanowił otworzyć butelkę czerwonego fixinu. Dostał ją od jednego ze stałych klientów. Nalał sobie trochę i spróbował – burgund był doskonały. Z kieliszkiem w ręku wrócił do salonu.

Torebka wciąż leżała na kanapie. Właśnie miał do niej podejść, kiedy zabrzączał jego telefon. SMS od Dominique: „Dziś może się udać, ale późnym wieczorem. Trudny dzień, wyjaśnię Ci. Jestem jeszcze w biurze. Giełda spada na łeb na szyję, włącz wiadomości, to będziesz wiedział, jak spędzam wieczór! Buziaki”. Wypił łyk wina i odpowiedział krótko: „Ja też całuję, opowiesz mi...”. Potem usiadł po turecku na drewnianej podłodze, postawił kieliszek i ostrożnie sięgnął po torebkę. Była piękna: skóra w dwóch odcieniach fioletu, pozłacane klamerki i zewnętrzne kieszonki najróżniejszej wielkości. Mężczyźni nie mają niczego takiego. Noszą najwyżej torby albo aktówki. Wszystkie zaprojektowane tak samo, w jednym tylko celu: żeby pomieściły teczki. Znów wypił łyk wina. Miał pełną świadomość, że zaraz zrobi coś zakazanego. Wędrze się w czyjąś prywatność. Mężczyzna nie powinien grzebać w damskiej torebce – nawet ludy pierwotne na pewno przestrzegają tej prastarej zasady. Mężowie w przepaskach na biodrach raczej nie mają prawa szukać zatrutych strzał ani korzonków na przegryzkę w skórzanych sakwach swoich żon. On nigdy nie otworzył bez pytania torebki żadnej kobiety. Ani Claire, ani swojej matki, kiedy był

dzieckiem. Tylko jeśli usłyszał: „Weź klucze z mojej torebki”, albo: „W torebce mam paczkę chusteczek, wyjmij je”. Wkładał rękę do damskiej torebki tylko za jasnym i wyraźnym przyzwoleniem, które zresztą przypominało raczej rozkaz i było aktualne bardzo krótko: jeśli nie znalazł kluczy albo chusteczek w ciągu dziesięciu sekund i zaczynał przetrząsać zawartość torebki, właścicielka szybko mu ją odbierała. Zniecierpliwionemu gestowi towarzyszyło krótkie zdanie, zawsze w trybie rozkazującym: „Daj mi to!” – i poszukiwane klucze albo opakowanie chusteczek natychmiast materializowały się na stole.

Pociągnął delikatnie za połączany suwak. Z torebki dobiegł zapach ciepłej skóry i damskich perfum.

Tak naprawdę potrzebuję przyjaciółki podobnej do mnie. Jestem pewna, że byłabym swoją najlepszą przyjaciółką.

Sen z dzisiejszej nocy: śniło mi się, że Belphégor był człowiekiem, bardzo mnie to zaskoczyło, a jednocześnie było w tym coś naturalnego, wiedziałam, że to on. Był dość przystojnym mężczyzną. Mieszkaliśmy w luksusowym hotelu. Wypiliśmy w barze po kieliszku wina i wróciliśmy do pokoju. Spaliśmy w wielkim łóżku, a potem kochaliśmy się na tarasie (było cudownie). Kiedy się obudziłam, dotykał nosem mojego nosa (w rzeczywistości, nie we śnie). KUPIĆ CHRUPKI dla kota. O smaku kaczki.

Lubię się przechadzać wzdłuż brzegu w porze, kiedy ludzie schodzą z plaży.

Podoba mi się nazwa koktajlu americano, ale w smaku wolę mojito.

Lubię zapach mięty i bazylii.

Lubię spać w pociągu.

Lubię obrazy przedstawiające bezludne pejzaże.

Lubię zapach kadzidła w kościołach.

Lubię aksamit i plusz.

Lubię jeść śniadanie w ogrodzie.

Lubię Erika Satie. KUPIĆ PŁYTY SATIE.

Boję się ptaków (zwłaszcza gołębi).

Wypisać inne rzeczy, których się boję.

Kiedy wsiadam do metra, od razu robię w głowie spis możliwych mężczyzn. (Nigdy nie poznałam żadnego mężczyzny w metrze).

Muszę zerwać z Hervém. Jest nudny, nie ma nic gorszego, niż nudzić się z nudnym mężczyzną.

Lubię ogień w kominku. Lubię zapach płonącego drewna. Zapach ogniska.

Zerwałam z Hervém. Nie lubię zrywać. Wypisać inne rzeczy, których nie lubię.

Była prawie jedenasta wieczorem. Laurent wciąż siedział na podłodze, teraz w otoczeniu rozmaitych drobiazgów, które wyjął z torebki, pogrążony w lekturze czerwonego notesu Moleskine. Dziesiątki stron myśli nieznanego kobiety, gdzieś tam przekreślonych, w innych miejscach podkreślonych albo zapisanych wielkimi literami. Pismo miękkie i eleganckie. Najwyraźniej notowała swoje przemyślenia, kiedy tylko przyszła jej ochota, w kawiarniach i w metrze. Był zafascynowany tymi zmieniającymi się jak

w kalejdoskopie refleksjami – przypadkowymi, wzruszającymi, niedorzecznymi, zmysłowymi. Otworzył drzwi duszy właścicielki jasnofioletowej torebki, i nawet jeśli czuł się trochę nieswojo, czytając jej zapiski, nie mógł się od nich oderwać. Przyszedł mu do głowy cytat z Sachy Guitry’ego: „Przyglądać się śpiącemu, to jak czytać list, który nie jest do nas zaadresowany”. Butelka wina była do połowy pusta, a pomysł, żeby zjeść zapiekankę, dawno odszedł w zapomnienie.

Pierwszą rzeczą, którą znalazł, był flakonik perfum z czarnego szkła – Habanita Molinarda. Rozpylił odrobinę – pudrowy zapach ylang-ylang i jaśminu. Potem wyciągnął pęk kluczy przyczepiony do złotego breloczka z wygrawerowanymi hieroglifami. I mały kalendarzyk z zapisanymi datami spotkań – godziny, imiona, kilka nazwisk. Żadnego adresu, żadnego numeru telefonu. Był początek stycznia i tylko pierwszych piętnaście stron było wypełnionych. Znał takie kalendarzyki. Sprzedawał je w dziale papeteryjnym. Właścicielka torebki nie zatroszczyła się o umieszczenie swoich danych na pierwszej stronie, która przecież właśnie do tego służyła. Ostatnie spotkanie zapisała pod wczorajszą datą: „godz. 20, kolacja, Jacques i Sophie + Virginie”. Też bez adresu i telefonów. Tylko jeden wpis dotyczący przyszłego tygodnia, w czwartek: „godz. 18, pralnia (sukienka na ramiączkach)”. Dalej beżowo-fioletowa kosmetyczka z podręcznym zestawem do makijażu. Miękki pędzelek od razu wypróbował na policzku. Żłota zapalniczka, czarny długopis Montblanc, może ten, którym pisała w notatniku, i torebka lukrecyjnych cukierków. Spróbował – cukierek dodał do smaku fixinu ciekawą leśną nutę. Mała butelka wody Évian, spinka do włosów z niebieskim kwiatkiem z tkaniny i dwie czerwone plastikowe kostki do gry. Wziął je do ręki i upuścił na podłogę. Pięć i sześć. Dobry wynik. Przepis na grasicę cielecą wyrwany z czasopisma kobiecego, zapewne z „Elle”. Paczka chusteczek. Ładowarka do telefonu komórkowego, ale oczywiście żadnego telefonu ani portfela. I żadnych dokumentów.

Złożona na pół koperta z czterema kolorowymi zdjęciami. Siwowłosa mężczyzna około sześćdziesiątki w czerwonej koszulce polo i beżowych spodniach stał uśmiechnięty na tle sosen. U jego boku kobieta w podobnym wieku, w fioletowej sukience, blondynka w czarnych okularach. Wyciągała rękę w stronę tego, kto robił zdjęcie. Fotografia była stara, mogła mieć dwadzieścia, nawet trzydzieści lat. Kolejne przedstawiało dużo młodszego mężczyznę z krótkimi kasztanowymi włosami. Stał ze skrzyżowanymi rękami na tle jabłoni. Na trzecim dom i otaczający go ogród z ogromnym drzewem. Żadnej wskazówki pozwalającej odgadnąć, co to za miejsce. Żadne ze zdjęć nie było podpisane. Bliscy i wspomnienia, które nie były żadnym tropem i które mogła zidentyfikować tylko właścicielka torebki.

W torebce było również mnóstwo innych rzeczy. Zaczął wyjmować po kilka naraz. Zanurzył rękę w kieszonce po lewej i wyciągnął tygodnik kulturalny „Pariscope”, pomadkę do ust, saszetkę efferalganu, spinkę do włosów i książkę. *Nocny wypadek* Patricka Modiano. Zamyślił się nad nią przez chwilę – więc lubi Modiano. Poczuł się tak, jakby gustujący w tajemnicach, wspomnieniach i poszukiwaniu tożsamości powieściopisarz puścił do niego oko. Kiedy wyszła ta książka? Nie pamiętał, jakoś na początku dwudziestego pierwszego wieku... Otworzył i znalazł datę pierwszego wydania. Gallimard, 2003 – widniało na dole, po lewej stronie. Po prawej odręczne pismo prześwitujące przez kartkę. Odwrócił

stronę i pod tytułem zobaczył napisaną długopisem dedykację: „Dla Laure na pamiątkę spotkania w deszczu. Patrick Modiano”. Litery tańczyły mu przed oczami. Modiano, najbardziej nieuchwytny z francuskich pisarzy. Od dawna nie uczestniczy w spotkaniach autorskich i bardzo rzadko udziela wywiadów. Jego ostrożny sposób mówienia, jakby pełen wielokropków, stał się legendą. On sam był legendą. Zagadką, którą jego czytelnicy śledzili od powieści do powieści od czterdziestu lat. Dostać od niego dedykację – wydawało się więcej niż nieprawdopodobne. A jednak te dwie linijki tam były.

W dodatku autor *Ulicy ciemnych sklepików* zdradził mu imię właścicielki fioletowej torebki.

Boję się czerwonych mrówek.

Boję się sprawdzać stan konta w banku, boję się kliknąć ikonkę bieżące saldo.

Boję się, kiedy wcześnie rano dzwoni telefon.

Boję się wsiąść do metra, kiedy jest tak pełne ludzi, że prawie pęka w szwach.

Boję się upływu czasu.

Boję się wentylatorów, ale wiem dlaczego.

Powinien przestać czytać czerwony notes Laure i opróżnić do końca torebkę, w której ciągle mogła się kryć jakaś mała wskazówka, nazwisko albo adres. Zostało jeszcze kilka kieszonek, niektóre zapinane na zamek błyskawiczny. Nigdy by nie pomyślał, że w damskiej torebce może być tyle skrytek i zakamarków. To trudniejsze niż wypatroszenie ośmiornicy. Na dnie jednej z małych kieszonek wymacał coś chropowatego, coś, co okazało się kamykiem, z pewnością zachowanym na pamiątkę jakiejś ważnej chwili. Zgromadził już trzy, różnych rozmiarów, rozsiane po całej torebce. Znalazł też kasztan, zapewne podniesiony w jakimś parku.

Zrobił przerwę, wstał i poszedł otworzyć okno. Była mroźna noc. Skwer był pusty. Trochę kręciło mu się w głowie – czy to czerwone wino wypite na pusty żołądek, czy nagromadzenie najrozmaitszych rzeczy, które przedefilowały przed jego oczami? Nie wiedział. Już miał wrócić do poszukiwań, kiedy jego komórka zasygnalizowała, że dostał SMS. Kompletnie zapomniał o Dominique. Napisała: „Będę u Ciebie za piętnaście minut, mam nadzieję, że nie śpisz...”. Choć jeszcze nie skończył, od razu zabrał się do wkładania wszystkiego z powrotem do torebki. Z pewną niechęcią myślał o Dominique. Zmuszała go do przerywania ledwie rozpoczętego śledztwa. Torebkę wcisnął do szafy w garderobie. Czesząc się przed lustrem, pomyślał, że właściwie mógł zostawić wszystko na podłodze i opowiedzieć całą tę historię Dominique. Tylko po co? Na pewno byłaby podejrzliwa i zazdrosna, zresztą nie miał ochoty dzielić się swoim odkryciem. Na razie Laure, wielbicielka Patricka Modiano, była tylko jego zagadką.

– Była tu jakaś kobieta...

– Słucham?

Przewiercała go swoimi czarnymi oczami na wylot. Krótka fryzura, podkreślająca jej rysy, tym razem upodabniała ją do drapieżnego ptaka.

– Nie, nie było tu żadnej kobiety – powiedział. Starał się, żeby to zabrzmiało przekonująco. Jak, u diabła, wyczuła, że dwadzieścia minut wcześniej pokój był pełen damskich drobiazgów? Mówi się, że kobiety mają szósty zmysł. Ale to wyglądało na czary.

Zakołysała kieliszkiem z winem i strzepnęła popiół z papierosa do ciężkiej kryształowej popielniczki.

– Czuję zapach perfum – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

No tak, czarny flakonik z torebki – rozpylanie tych perfum to nie był dobry pomysł. Habanita wciąż jeszcze unosiła się w powietrzu. A przecież nacisnął spust tylko raz. Dominique, jak prawdziwy pies

myśliwski, wyczuła resztki woni, której żaden przedstawiciel płci przeciwnej – tego był pewien – nigdy by nie wyczuł.

– Nie było tu żadnej kobiety, przysięgam... na głowę mojej córki, na moją księgarnię. Niech zbankrutuję w najbliższych miesiącach, jeśli jakaś kobieta weszła do tego pokoju. – Starannie dobierał słowa. Mógł przysiąc na wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, bo to była prawda: nie było u niego żadnej kobiety. Tylko damska torebka.

Ta przysięga najwyraźniej ją usatysfakcjonowała.

– Wierzę ci – powiedziała. – Jesteś przesądny. Nie mówiłbyś tego, gdyby to nie była prawda.

Potem nastąpił opis jej wieczoru. Spędziła go na śledzeniu ostatnich spadków na giełdzie i miliardowych transakcji na ekranach pokazujących notowania z całego świata – z uwzględnieniem różnic czasu – żeby móc zredagować rubrykę w dziale ekonomicznym znanego dziennika. Prowadziła też audycję w radiu. Czasem występowała nawet w telewizyjnych wiadomościach. Zawsze czuł się trochę dziwnie, kiedy widział kobietę, z którą dzielił noc, na małym ekranie, dyskutującą zawzięcie z innymi dziennikarzami, czasem nawet ze sławami ekonomii. Poznali się właśnie w telewizji, zeszłej jesieni. Zaproszono go, żeby opowiedział o pewnej książce, a ona czekała na swoją kolej – miała wystąpić w programie o ekonomii. Czytała powieść, o której mówił. Podobała jej się, i właśnie to mu powiedziała. Tydzień później Czerwony Zeszyt organizował spotkanie z autorem, więc ją zaprosił. Została aż do zamknięcia księgarni. Ich spojrzenia spotkały się w tym ułamku sekundy, kiedy mężczyzna i kobieta, którzy się nie znają, bez jednego słowa dają sobie do zrozumienia, że noc dopiero się zaczyna.

– Chodź, jest późno – powiedziała, idąc do sypialni.

Rzucając ją na łóżko, nie mógł się powstrzymać: musiał zerknąć w stronę garderoby, w której schował torebkę. Kiedy Dominique go całowała, jego myśli na dobre opanowało zdanie: „Boję się czerwonych mrówek”.

Odwrócił się na drugi bok i stwierdził, że jest w łóżku sam. Spojrzał na budzik: szósta. Dominique budziła się wcześniej, ale nigdy nie wychodziła przed siódmą i nigdy bez pożegnania. Wstał i zastał ją w przedpokoju, ubraną, gotową do wyjścia.

– Wychodzisz?

– Tak, wychodzę.

– Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz? – zapytał.

– Zostawiłam ci list na stoliku w salonie – odpowiedziała chłodno, zaciskając pasek od płaszcza.

Laurent!

Najwyraźniej lubisz przysięgi, ale powinieneś lepiej troszczyć się o swoją córkę i o finanse księgarń. Wstałam wcześniej i na chwilę położyłam się na kanapie. Oto, co na niej znalazłam. Może powinniśmy o tym porozmawiać... Albo nie... To zależy od Ciebie. Ja na pewno nie zrobię pierwszego kroku, to mogę Ci przysiąc.

Dominique

Pod podpisem położyła spinkę do włosów. Musiał ją upuścić, kiedy w pośpiechu wrzucał wszystko do torebki.

– Oczywiście zaraz mi powiesz, że to spinka twojej córki.

– Nie, to nie jest spinka mojej córki. Daj mi wyjaśnić, nie ruszaj się przez chwilę – powiedział.

Poszedł do garderoby po torebkę. Położył ją na niskim stoliku w salonie.

– Coraz lepiej – mruknęła Dominique, oszołomiona jego bezczelnością. – Zostawia nawet u ciebie swoje rzeczy.

– Ależ nie, zaraz się z tego uśmiejesz.

– No dalej, rozśmiesz mnie, Laurent.

– Znalazłem tę torebkę na ulicy.

– Kpisz sobie ze mnie?!

Nagle stała się zimna i nieprzystępna. Poczł się bezsilny, jak ktoś niesłusznie oskarżony, ktoś, komu nie wierzy absolutnie nikt, nawet jego własny adwokat.

– Nie – powiedział. – Nie kpię z ciebie. Znalazłem ją wczoraj rano na ulicy, dokładniej na Passe-Musette.

Dominique pokiwała głową, ale jej spojrzenie z chwili na chwilę stawało się coraz zimniejsze.

– Torebka, pełna różnych rzeczy, na ulicy...

– Tak, ktoś ją ukradł – powiedział.

– I co ta skradziona torebka robi na dnie twojej garderoby?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył.

– I dlaczego nie opowiedziałeś mi tej pięknej historyjki wczoraj wieczorem?

– Bo...

– Bo wcale nie miałam znaleźć spinki do włosów innej kobiety na twojej kanapie! – odparowała podniesionym głosem.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Pierwsze, co wyczułam, kiedy tu weszłam, to jej perfumy – mówiła dalej, wodząc wzrokiem po pokoju. – Powinnam była się domyślić, miałeś taką dziwną minę...

– Ależ nie, to znaczy tak, zgoda, to jej perfumy, ale to ja je rozpyliłem – powiedział, grzebiąc w torebce. – Gdzie jest ten flakonik? Pokażę ci, musi tu gdzieś być... Nigdy nie można nic znaleźć w tych waszych torebkach! – Zirytował się. – O, jest! – wykrzyknął triumfalnie. Nacisnął i drobne kropelki zamigotały w porannym świetle.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała chłodno Dominique. – Przekaż jej ode mnie, że używa okropnych perfum.

Usłyszał, jak trzaska drzwiami. Ani się obejrzał, jak został sam, na środku salonu, z czarnym flakonikiem Habanity w ręku.

Na próżno błyskawicznie wciągnął dzinsy, T-shirt i mokasyny i ruszył za nią. Zdążyła już wsiąść do taksówki. Właśnie znikła za rogiem. W jej komórce włączyła się poczta głosowa. Nie zostawił wiadomości. Ruszył przed siebie i wylądował za kontuarem kawiarni Jeana-Barta. Spotkał Jeana Martela, który właśnie wrócił z porannych łowów na pchlim targu. Stary antykwariusz rozłożył na barze mnóstwo tabakerek. Oglądał je po kolei przez lupę.

– To jak policyjne śledztwo – powiedział. – Trzeba znaleźć ślad i podążać za nim w nadziei, że dokąś nas zaprowadzi.

– I jaki znalazłeś ślad? – zapytał Laurent. Był znudzony.

– Do połowy zatarty herb, chyba jakiegoś hrabstwa. Może mi się uda go zidentyfikować.

Laurent pokiwał głową, a potem zapłacił za kawę i poszedł na górę, do mieszkania. Torebka leżała na stole obok listu. *Może powinniśmy o tym porozmawiać... Albo nie... To zależy od Ciebie.* Cóż, zadzwoni do niej później. To niesprawiedliwe. Rzeczywiście wszystko świadczyło przeciwko niemu. Ale przecież miał prawo się bronić, wyjaśnić, co się stało. Właściwie już to zrobił. Tylko że ona mu nie uwierzyła.

Wypił jeszcze jedną kawę i otworzył pocztę. Znów góra spamu, w tym kolejna natarczywa reklama parasoli dla psów.

Od: kloestar@gmail.com

Do: laurent_jetellier@hotmail.com

Temat: Kolacja

Cześć, przemądrzały księgarzu!

Czwartkowy wieczór aktualny? Czekaj na mnie w kawiarni U François o 18 punkt. To ta kawiarnia z ogródkiem niedaleko liceum, po lewej, naprzeciwko wielkiego drzewa i pomnika, tam, gdzie jedliśmy w zeszłym miesiącu. Weź stolik na zewnątrz, przy ulicy.

W pierwszym rzędzie. Załóż czarną kurtkę i białą koszulę, i niebieskie dżinsy 501, które kupiliśmy w tamtą sobotę. Potem zjemy kolację. Co zrobisz do jedzenia? Zamawiam *pot-au-feu*. Całusy.

C.

Uśmiechnął się. Brzmiało to jak groźba dominującej kochanki, a jednak nikt taki nie krył się za tymi linijkami: to tylko jego piętnastoletnia córka. Ładna dziewczyna z silnym charakterem, manipularka jakich mało, jak mówiła jej matka. Wiadomość o ich separacji przyjęła w typowy dla siebie sposób: „Myślę, że to rozsądne – oświadczyła ojcu z wyżyn swoich dwunastu lat. – Ale ja też nie chcę na tym stracić”. „Słucham? Co chcesz przez to powiedzieć?”. „Chcę dostać podwójne kieszonkowe”. „Słucham?” – powtórzył. „A ponieważ będę mieszkać z mamą, chciałabym dostać kota”. Tym razem nie poprosił o powtórzenie. Siedział tylko w swoim miękkim fotelu i kontemlował małą kobietkę, która z tego, co wiedział, powstała ze skrzyżowania jego genów z genami Claire. Musiało dojść do jakiejś mutacji. On jako dziecko nigdy nie miał tyle tupetu, jego żona też nie. „W sąsiedniej kamienicy jest mała biała kotka do wzięcia” – powiedziała jej Claire kilka tygodni później. „Nie, nie chcę małej białej kotki, chcę kota. Dużego. Chcę mainkuna”. Claire przekazała mu to żądanie mailem. Każde zdanie zaczynało się od: „Twoja córka...”. U Claire i Chloé zamieszkał więc mainkun, największy z domowych kotów. „Jak go nazwiesz, kochanie?” – zapytali z Claire. „Putin” – powiedziała Chloé z triumfalnym uśmiechem. „Och, nie! – wykrzyknęła Claire. – Nie nazwiesz tak przecież kota...”. Mogła sobie darować. Putin nie pozwalał się głaskać nikomu poza Chloé i opuszczał jej pokój tylko po to, żeby pójść do miski z chrupkami albo do kuwety. Wtedy przecinał salon z pogardliwą miną, po drodze ostrząc pazury na kanapie, na oczach przerażonej Claire, a potem wracał do pokoju, żeby czekać na swoją panią.

Laurent wystukał: *Tak, kochanie. Będę. Pot-au-feu też. I nie nazywaj ojca przemądrzałym księgarzem, bardzo Cię proszę... Całuję Cię.* Zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek odpowiedział: *Nie, kochanie.* Wyciągnął z za biblioteczki składany stolik do gry w karty i postawił go koło okna, żeby skończyć to, co zaczął poprzedniego wieczoru. Położył torebkę na zielonym obiciu i wszystko z niej wyjął. Układał przedmioty jeden obok drugiego, w przypadkowej kolejności. Wsunął palec do malutkiej kieszonki w podszewce – bez zamka – i znalazł dwa nieużyte bilety na metro i paragon z pralni z czwartkową datą i słowem „sukienka” obwiedzionym kółkiem. Sprawdził w kalendarzyku. Wszystko wskazywało na to, że to paragon za „sukienkę na ramiączkach”. Nie figurowała na nim jednak ani nazwa pralni, ani adres.

Jak wygląda ta Laure, która lubi jeść śniadania w ogrodzie, boi się czerwonych mrówek, której się śni, że uprawia seks ze swoim zamienionym w mężczyznę domowym zwierzakiem, która maluje usta koralowoczerwoną szminką i nosi w torebce książkę z dedykacją od samego Patricka Modiano?

Ta kobieta była zagadką. Rysowała się przed nim rozmyta sylwetka, jakby z za zabłoconej szyby. Twarz miała podobną do tych, jakie widuje się w snach. Ich rysy zacierają się, kiedy tylko próbujemy je sobie przypomnieć.

– Na pewno jest pasztetem.

Zdanie padło ciężko jak mucha do szklanki z mlekiem. Laurent wzniosł oczy do nieba. Jadł obiad u Jeana-Barta. Z przyjacielem, Pascalem Masselou. Ze swoim najlepszym przyjacielem. Ten tytuł przypadł mu w udziale, kiedy byli nastolatkami. Od tego czasu minęło wiele lat. Czy Pascal wciąż zasługiwał na to zaszczytne miano? W każdym razie nie miał konkurencji. Chociaż tak naprawdę nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Co najwyżej sytuację rodzinną i uczuciową: obaj byli rozwiedzeni. Co do reszty – wszystko, co cementowało ich przyjaźń, skończyło się już dawno temu. Dokazywanie w szkolnych ławkach, fantazjowanie o niedostępnych – albo sprawiających takie wrażenie – koleżankach, wygłupy i wspólne tajemnice, piwo w barach i dyplomy uniwersyteckie – wszystko to dzieliły lata świetlne od codzienności dorosłych ludzi, którymi się stali. Przedłużali to porozumienie z dawnych czasów jak dwaj pokerzyści, którzy ciągną grę do późnej nocy, dobierając karty i opróżniając kolejne kieliszki, kiedy wszyscy inni już dawno odeszli od stołu i położyli się spać. Laurent opowiedział mu o torebce. Miał nadzieję, że ta historia wyda mu się fascynująca tak samo jak jemu.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo nie wiesz, kim jest ta kobieta, i nigdy się nie dowiesz – odpowiedział Pascal, żując antrykot. – Masz tylko torebkę i imię, nie masz adresu, a przede wszystkim zdjęcia. Ja, zanim się zbliżę do kobiety, wiem, kim jest. Wszystko jest jasne: zdjęcia, wiek, zawód, kolor oczu i włosów, wzrost, waga...

Po rozwodzie Pascal odkrył portale randkowe w internecie. Zapisał się na większość z nich pod różnymi pseudonimami. Spełniał się w dżungli wirtualnych profili i wiele razy próbował przekonać Laurenta, żeby do niego dołączył. Za pseudonimami Seniormanager na Meetic i Attractive World – portalach dla wymagających singli – i tymi bardziej wymownymi, żeby nie powiedzieć groteskowymi, jak Dreszcze, Żądło, Magnum i Thebest na odpowiednio: Adultere.com, Infideles.fr, Ashleymadison.com i Adopteunmec.com, krył się ten sam człowiek: Pascal. Otwarty na popołudniowe i weekendowe przytulanki. Nawiązał też kilka „poważnych” znajomości, żeby zagłuszyć sumienie.

Korzystam z życia, mawiał, uśmiechając się z zadowoleniem. W oczach Laurenta dał się po prostu wchłonąć temu, co świat zachodni ma do zaoferowania najgorszego. Kierował swoim życiem uczuciowym, a właściwie seksualnym, jak dyrektor produktu w przedsiębiorstwie średniej wielkości. Przy okazji jakiegoś obiadu pokazał mu katalog na swoim laptopie. Jednym kliknięciem otworzył trzy foldery ze zdjęciami kobiet: „archiwum” z tymi, z którymi już spał, „bieżące” z tymi, z którymi coś go łączyło, i „do zdobycia” z tymi, które miał nadzieję poznać. „Żartujesz sobie? Naprawdę je archiwizujesz?”. „Oczywiście – obruszył się Pascal. – To wymaga świetnej organizacji, mam nawet podfoldery: nimfomanki, nieśmiałe, wkurzające, oziębłe...”. „Żalotne, nie chcę tego oglądać” – powiedział Laurent z niesmakiem. Pascal wrzucił ramionami i zamknął laptopa. Laurent tkwił w innej rzeczywistości, w świecie przypadkowych spotkań, uśmiechów wymienianych w kawiarniach

i przelotnych rozmów o książkach. Jego zdaniem Pascal stał się swoim własnym alfonsiem. Publikował na portalach zdjęcia, na których wyglądał jak model z reklamy ekskluzywnej męskiej odzieży. Twarzą do obiektywu, uśmiechnięty, na stojąco, z niedbale rozpiętą koszulą i z szarą marynarką przerzuconą przez ramię. Albo wręcz z nagim torsem, w kąpielówkach. Takie zdjęcia zrobiła mu pięć lat wcześniej jego żona na korsykańskiej plaży. I wybierał odpowiedzi na pytania w stylu: „Jakie są według ciebie twoje trzy główne zalety?” albo: „Szukasz: a) poważnego związku, b) przyjaźni, c) luźnej znajomości?”. Teraz relacjonował mu, co się ostatnio działo w jego życiu. Jego syn miał wypadek na skuterze, a córka nie rozmawiała z nim od czasu, kiedy jej przyjaciółka pokazała jej zdjęcie faceta, z którym korespondowała w necie i którym okazał się... on.

Laurent nie zaprosił go do domu, żeby mu pokazać torebkę. Miał taki plan, zanim się spotkali, ale potem wydało mu się to nie na miejscu. Nie chciał, żeby Pascal oglądał rzeczy nieznanym, a jeszcze mniej ochoty miał na słuchanie jego przykrych uwag: co za nudy, tracisz czas, wywal to wszystko do kosza. Chcesz mieć romans? Załóż sobie profil na jakimś portalu.

– A przy okazji... jak się miewa Dominique?

– Bardzo dobrze, dziękuję – odpowiedział Laurent chłodno.

– Słyszałem ją dziś rano w radiu. Co za subtelna analiza! Naprawdę masz szczęście, to piękna i inteligentna kobieta. Jesteście dla siebie stworzeni – stwierdził Pascal, przeżuważając ostatni kęs.

Laurent nie podchwycił tematu. Mógł mu tylko przyznać rację: nie ma nazwiska, adresu ani zdjęcia, więc właścicielka czerwonego notatnika prawdopodobnie na zawsze pozostanie zagadką, a jej torebka ma wszelkie szanse skończyć w biurze rzeczy znalezionych.

Ogród. Ogród bardzo podobny do tego, który otaczał jej rodzinny dom. Chociaż nie identyczny. W tym ze snu było coś w rodzaju małego wodospadu przy niskim ceglany murze, w głębi. Kiedy się skupiła, słyszała wodę spływającą po kamieniach. Zdawało jej się, że u jej bosych stóp śpi w słońcu wielki kot syjamski. Nawet jeśli wrażenie było dość osobliwe, nie miała wątpliwości, że jest w ogrodzie. Dotyk trawy na skórze zdawał się taki realny. I ten kot, którego nie widziała, ale który spał na jej stopach – to musiał być Sarbacane.

Jej rodzice też tam byli. Gdzieś przy wielkim drzewie. Jedli pod nim obiady przy rozstawianym na lato stole. Ojciec chodził na targ w rynku. Kupował ostrygi i kraby. Ostrygi otwierał sam, a matka w tym czasie gotowała kraby w bulionie z liśćmi laurowymi, aż ich pancerzyki stawały się całkiem czerwone. A kiedy wycisnęło się na ciało ostrygi odrobinę cytryny, chowała się w głąb skorupki. To znaczy, że jest świeża – mówił jej ojciec.

Zbliżała się pora obiadu. Wiszące zegary zatrzymały się gdzieś na początku lat osiemdziesiątych. Od tego czasu żadna wskazówka nie drgnęła nawet o milimetr. Trzydzieści lat, które upłynęło od tego czasu, zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Śniło jej się, że jest nastolatką, potem dorasta, ma pracę, mieszkanie, za które sama płaci rachunki. Co za absurd, przecież nie płaci się rachunków, kiedy jest się dzieckiem. W tym wieku jedyne problemy, z jakimi ma się do czynienia, to zadania z matematyki i dyktanda – jeśli czasownik w czasie przeszłym dokonany odmienia się z czasownikiem posiłkowym „mieć”, a dopełnienie bliższe stoi przed czasownikiem, to imiesłów czasu przeszłego należy uzgodnić z dopełnieniem. „Ale dlaczego?”. „Tak po prostu jest”. „Tak, ale dlaczego?”. „Dlatego. Nie zadawaj głupich pytań, tak jest, koniec, kropka, po prostu się tego naucz. Męczą nas twoje ciągłe pytania, Laure”.

Śnili jej się ludzie, których poznała, droga, którą przeszła i która doprowadziła ją do cichej pracowni Gardhiera. Śniło jej się, że poznała Xaviera Valadiera. „Jestem reporterem wojennym, robię zdjęcia w terenie”. „To musi być bardzo niebezpieczne...”. „Tak, czasami”. Uśmiechnął się. Ten łagodny i smutny uśmiech, któremu towarzyszyły dwa urocze dołeczki, wzruszył ją. Podobnie jak jego oczy. Z pewnością widziały zbyt wielu umierających ludzi, na całym świecie. Śnił jej się album ze zdjęciami zakwefionych Afganek, czeczeńskich dzieci pośród ruin, wojowników Hezbollahu w Libanie. I z jego zdjęciem. Stał u boku Ahmeda Shaha Massouda. To nazwisko: Ahmed Shah Massoud, wymawiane po arabsku, z językiem uderzającym o zęby. Wszystko to było tylko snem. Podobnie jak telefon, który zadzwonił pięć lat później w jej mieszkaniu o siódmej dwadzieścia rano, i głos kobiety z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w słuchawce. Zakłopotany, pełen wahania głos, w którym wyczuła lęk. Głos, który – wiedziała to w chwili, kiedy padły pierwsze słowa – miał jej oznajmić, że za chwilę całe jej życie runie. Jak te ważące tony połączone lodu, które odrywają się od gór i cicho pogrążają w mroźnych wodach Antarktyki. Głos, który powiedział: „Coś się stało pani mężowi w Iraku, coś poważnego, bardzo poważnego...”. Długie milczenie, a potem Laure powiedziała: „Nie żyje... tak?”. Znowu milczenie, tym

razem krótsze, a potem: „Tak, proszę pani”.

Xavier też tam był, w ogrodzie. Była pewna, że z oddali słyszy jego głos – był gdzieś pod drzewem. Rozmawiał z jej ojcem. Matka była w kuchni, a Sarbacane wiercił się między jej stopami. Domagał się swojej porcji krabów. Letnie popołudnie było takie realne, choć przecież dom został sprzedany dawno temu, a oni wszyscy już nie żyli. Kot Sarbacane został pochowany w głębi ogrodu, pod ceglany murem, tam, gdzie we śnie szemrał ten dziwny wodospad, który nigdy nie istniał. Jej rodzice leżeli na cmentarzu Montparnasse. Prochy Xaviera pewnego wczesnego wietrznego ranka rozrzuciła na przylądku La Hague.

Dźwięki, które do niej docierały, nagle nie miały już nic wspólnego z tymi z ogrodu. Dwa kobiece głosy dyskutowały o ostatnich odcinkach jakiegoś amerykańskiego serialu. Zgadzały się, że aktor grający głównego bohatera ma wrodzony czar. Jedna rozplątywała się w zachwytach nad jego siwymi włosami i władczym głosem. „To jest mężczyzna, prawdziwy mężczyzna” – ekscytowała się. Nie, stanowczo nie był to początek lat osiemdziesiątych. Głosy były coraz bliżej. „Baulieu mówi, że powinna się obudzić w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Przyszedł do niej ktoś z rodziny?”. „Wczoraj wieczorem wpadł wysoki szczupły koleś z krótkimi włosami, ufarbowany na blond, taki trochę homo, właściwie zupełnie homo, bardzo zmartwiony. Został do końca pory odwiedzin. Mówił, że to jego siostra, ale mają inne nazwiska”. „William – chciała powiedzieć Laure. – To William”. Ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Nic.

Znów znalazła się w ogrodzie, mimo że wcale nie chciała. Kraby były gotowe, a jej matka wołała z oddali, żeby przynieśli białe wino. Wstała z trawnika i ruszyła do kuchni. Poczowała pod bosymi stopami chłód kafelków. Otworzyła lodówkę i znalazła dwie butelki Pouilly-Fuissé. Musiał je tam włożyć jej ojciec.

O tej porze roku w ogródku kawiarni było mało ludzi i Laurent bez problemu znalazł stolik w „pierwszym rzędzie”, najbliżej chodnika. Usiadł tuż pod gazowym ogrzewaczem. Czarna marynarka, biała koszula, levisy i niebieski szalik, który podarowała mu Claire dziesięć lat temu: wszystko tak, jak sobie życzyła jego córka. Dochodziła osiemnasta. Zamówił espresso i dla zabicia czasu przyglądał się innymi klientom. Kilku mężczyzn, którzy przyszli prosto z biur, piło piwo. Wyglądali na zmęczonych, ale silili się na dobry humor. Przerzucali się anegdotkami z pracy. Samotna kobieta siedząca kilka stolików dalej była pogrążona w lekturze. Czytała e-booka. Dyskretnie przesunął krzesło i przechylił się w jej stronę. Czytnik może zmieścić całą bibliotekę. Można ją nosić w małej torebce. Czy książka papierowa przetrwa przy tym cudzie technologii? Mimo że Czerwony Zeszyt radził sobie całkiem nieźle, Laurent zaczynał w to wątpić.

Plecak, sprane dżinsy, pasek z ćwiekami, jasne zamszowe botki na obcasach – na które Claire z początku nie chciała się zgodzić – niebieska bluza, a pod nią golf, tym razem czarny. Jeden z ulubionych codziennych zestawów jego córki. Mimo że zdaniem jej matki skomponowanie go co rano zajmowało jej ponad pół godziny. Zostawiła kolegów przed bramą liceum w dole ulicy – najstarsi palili papierosy – i ruszyła w jego stronę. Podeszła do stolika, rzuciła na krzesło ciężki plecak i usiadła:

– No i co, księgarzu, dużo dziś książek sprzedałeś?

– Nie dostanę buziaka?

– Dostaniesz, ale później – powiedziała, zerkając w stronę szkoły. – Padam z nóg. Jestem po siedmiu lekcjach. Nie wyobrażasz sobie, koszmar.

– Masz rację, trudno mi to sobie wyobrazić – mruknął.

– I chce mi się pić – ciągnęła. – Umieram, jestem kompletnie odwodniona, chcę piwo z lemoniadą.

– Nie ma mowy, żadnego alkoholu. Lemoniada? Nie ma sprawy.

– Coś dla pani? – zapytał kelner.

– Poproszę świeżą lemoniadę z dwiema kostkami lodu i plasterkiem cytryny. I słomkę.

– Już się robi... – odpowiedział kelner, posyłając Laurentowi porozumiewawcze spojrzenie.

Chloé zerknęła szybko w dół ulicy, a potem znów na ojca.

– Czekasz na kogoś?

– Ależ skąd – zaperzyła się. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu... Ugotowałem *pot-au-feu*.

– Super! Robisz najlepsze *pot-au-feu* na świecie. Bertrand gotuje je każdej zimy i nigdy mu nie wychodzi. Głupek.

– Nie bądź niemiła, bardzo cię proszę.

Chloé nie zwracała na niego uwagi. Znów zerknęła w stronę liceum. Bertrand był nowym chłopakiem Claire. Fotografem. Robił zdjęcia jedzenia. Jego klientami byli najlepsi producenci mrożonek i dań na

wynos. Z pewnością marzył kiedyś o tym, żeby zostać następnym Richardem Avedonem albo Guyem Bourdinem, o tym, żeby przed jego obiektywem stanęły gwiazdy i modelki, ale musiał się zadowolić ustawianiem ostrości na rostbefy w sosie kurkowym – i to w najlepszym razie, a w najgorszym na filety rybne w sosie maślanym. Ale miał własną firmę, w której zatrudniał sześć osób i która zmonopolizowała rynek fotografii luksusowych dań gotowych. Dzięki temu świetnie zarabiał. Nie czytał ani powieści, ani esejów – tylko czasopisma fotograficzne i kulinarne.

Laurent przyjrzał się nieskazitelnemu profilowi córki: dyskretny makijaż, dynamiczny, choć nie ostry zarys nosa, oczy w kształcie migdałów, łagodne łuki brwi, pięknie wykrojone usta. Wyrosła na naprawdę ładną dziewczynę. I miała dłonie Claire: szczupłe, długie palce i nadgarstki tak wąskie, że w paskach od zegarka musiała robić dwie dodatkowe dziurki.

– Masz nowy zegarek – zauważył.

– Tak, zauważyłeś! Ładny, prawda? To nowa marka, supertrendy, ubóstwiam ją.

W stronę kawiarni szły dwie nastolatki o długich blond włosach, w spódniczkach mini, conversach i z plecakami. Kelner ceremonialnie postawił przed Chloé szklankę z lemoniadą, z dwiema kostkami lodu, przystrojoną plasterkiem cytryny i różową słomką.

– Super! – powiedziała i przysunęła krzesło bliżej ojca. – Fantastycznie, że jesteśmy tu razem. – Przytuliła się do niego.

– Tak, zawsze bardzo się cieszę, jak się spotykamy. I jestem z ciebie bardzo dumny – powiedział z uśmiechem.

Dwie blondynki zatrzymały się tuż przed ich stolikiem. Chloé spojrzała na nie. Dziewczyny popatrzyły na siebie w milczeniu, a potem zerknęły na Laurenta. Ta z krótszymi włosami rzuciła arogancko:

– Pan jest ojcem Chloé, tak?

W tym momencie w prawego mokasyna Laurenta wbił się obcas zamszowego botka. Laurent znieruchomiał – to naprawdę bolało – i odwrócił twarz w stronę córki. Za dobrze ją znał, żeby nie wiedzieć, co wyraża utkwione w nim nieruchome spojrzenie: strach i błaganie. „Tak, jestem jej ojcem, dzień dobry, z kim mam przyjemność?” – to najwyraźniej nie byłaby dobra odpowiedź. W ułamku sekundy, który mu został i w którym nacisk obcasa miażdżącego mu stopę bynajmniej nie zelżał, zdążył tylko pomyśleć, że nie, jego córka tak daleko by się nie posunęła. A jednak jakiś głos szeptał mu nieubłaganie: ależ owszem, Laurent, znasz ją przecież, oczywiście, że o to chodzi. O cóż by innego?

Odwrócił się do blondynek:

– A można wiedzieć, skąd to pytanie? – odpowiedział z chłodnym uśmiechem.

– No bo... – wybąkała ta z dłuższymi włosami.

– To nie jest mój ojciec, to mój facet – rzuciła Chloé z dumą. – A teraz może mogłybyście nas zostawić w spokoju? – dodała z udawanym rozdrażnieniem. Wreszcie zabrała obcas z mokasyna ojca.

Nastolatki cofnęły się o krok, nie spuszczając z niego wzroku.

– Przepraszamy – mruknęła ta z dłuższymi włosami.

– Tak, przepraszamy – podchwyciła druga. – To my już pójdziemy.

I szybko przeszły przez ulicę. Laurent patrzył, jak oddalają się w zapadającym zmierzchu.

Najwyraźniej się kłóciły. Gestykulowały zawzięcie. Jedna nawet popchnęła drugą ze złością.

– Nigdy w życiu się tak nie wstydziłam! – zapiszczała.

– Dziś wieczorem te dwie mały chyba podetną sobie żyły – podsumowała Chloé z ironicznym uśmiechem.

Przedstawić własnego ojca jako swojego chłopaka. To był szczyt wszystkiego. A jednak kiedy jechali samochodem, wszystkie argumenty Laurenta załamywały się jeden po drugim pod naporem kontrargumentów jego córki: nie miał o niczym pojęcia, bo za jego czasów było inaczej. Czasy Laurenta były prehistorią: świat bez technologii, w którym na widok ślicznej dziewczyny mężczyznę zamurowywało, serce waliło mu jak oszalałe, świat, w którym szczytem wyuzdania było kupowanie „Playboya” i podziwianie rozkładówek z kobietami w obleśnych pozach, przyodzianymi tylko w pasy do pończoch. W czasach jego córki nic z tego nie zostało: jeśli nie liczyć jej przyjaciółki Charlène, wszystkie licealistki były zarozumiałymi zdzirami interesującymi się wyłącznie lakierami do paznokci. Jeśli chodzi o chłopaków, byli bandą psychopatycznych prawiczków, którzy na okrągło oglądali hard porno w internecie i jedyne, co mieli do zaproponowania Chloé, to wcielenie tych cudownych filmowych ujęć w życie. Dzięki scenie odegranej w kawiarni stanie się nietykalna. Już nikt nie ośmielił się do niej zbliżyć. Będzie miała święty spokój. Zdaniem Chloé nie trzeba dużo czasu, by wieść, teraz już potwierdzona, że ma o wiele starszego, a przy tym dość przystojnego kochanka, obiegła liceum – są duże szanse, że już pojawiła się na Facebooku.

Owszem, znajomi pytali, kim jest, kiedy ją odbierał ze szkoły. W końcu zaczęła mówić, że nie jest jej ojcem. I owszem, poprosiła, żeby zajął stolik tuż przy chodniku specjalnie, żeby te dwie małpy zobaczyły ich razem. Nie, nie sądziła, że ośmieli się do nich zagadać.

– Dzięki, że tak świetnie wczułeś się w rolę. Jesteś fantastyczny!

– Fantastyczny! – Zirytował się. A kiedy usłyszał jeszcze: „Zresztą to przecież powinno ci schlebiać”, z trudem powstrzymał się od złożenia jej tyłka. Zrezygnował tylko dlatego, że nie chciał psuć reszty wieczoru.

– Co to jest?

Kiedy zniknął w kuchni, żeby odgrzać *pot-au-feu*, Chloé podeszła do zielonego stolika.

– Zawartość pewnej torebki – odpowiedział z kuchni, a potem wrócił do salonu. – Znalazłem ją na ulicy.

– Marzę o takiej czerwonej szmince, ale mama mi nie pozwala – westchnęła Chloé. – Jakie śliczne lustro!

– To skradziona torebka. Nie było w niej żadnych dokumentów, tylko osobiste drobiazgi, wszystko, co tu widzisz...

Chloé przesuwała palcami po rzeczach leżących na stoliku. Musnęła klucze, kostki do gry, „Pariscope”, stosik kamyków, a potem otworzyła czerwony notatnik na przypadkowej stronie.

Lubię, kiedy latem noc zapada tak późno.

Lubię otwierać oczy pod wodą, kiedy pływam.

Lubię nazwy Ekspres Transsyberyjski i Ekspres Transorientalny (nigdy nimi nie pojedę).

Lubię herbatę Lapsang Souchong.

Lubię truskawki Tagada.

Lubię patrzeć na mężczyzn śpiących po seksie.

Lubię ostrzeżenie Mind the gap w londyńskim metrze.

– Chciałbym ją znaleźć – przerwał jej. – To jedyny trop, jaki mam – powiedział, wskazując na kwit z pralni. – Pasuje do daty w kalendarzu. Tego dnia ma odebrać sukienkę na ramiączkach, ale nazwy pralni nie zapisała.

Dużo myślał o tej sukience. Wpadł na pomysł, żeby ograniczyć zasięg poszukiwań. Pralnia powinna się znajdować w promieniu, powiedzmy, kilometra. Założył, że złodziej wyrwał jej torebkę, a potem uciekł. Pewnie się zatrzymał kilka przecznic dalej, przeszukał ją, wyciągnął portfel z pieniędzmi, kartę do bankomatu i dokumenty, przywłaszczył sobie telefon i pewnie jeszcze jedną czy dwie rzeczy, które miały jakąś wartość, a potem wyrzucił torebkę na śmietnik. Laurent znalazł ją rano, co oznaczało, że do kradzieży doszło chwilę wcześniej albo w nocy. Wychodząc z tego założenia, mógł wysunąć następujące przypuszczenie: albo Laure mieszka w tej dzielnicy, albo tędy przechodziła. Jeśli to pierwsze, prawdopodobnie korzysta z którejś z okolicznych pralni chemicznych – i może znają tam jej nazwisko.

– Chloé, przyjrzyj się temu. Jesteś kobietą. Spróbuj dostrzec to, co ja przeoczyłem. Może jest tu coś, co mi pozwoli ją znaleźć. Naprawdę nic? Znam tylko jej imię: Laure.

W kuchni zaczął gwizdać szybkiar.

– Zaraz wrócę – powiedział. Zostawił ją przed zielonym stolikiem.

Pot-au-feu już się gotował. Za kilka minut wrzuci do niego warzywa, które podgotował poprzedniego wieczoru: marchewki, ziemniaki, pory, rzepę i seler, a także dwie kości ze szpikiem.

– Dedykacja! – krzyknęła Chloé.

Laurent wyjmował właśnie z lodówki talerz z warzywami i nie zobaczył jej uśmiechu. Zaraził ją miłością do książek, kiedy była małą dziewczynką. Od *Bajek kota na płocie* Marcela Aymégo przeszli do *Harry’ego Pottera*, potem do opowiadań Edgara Poe’go, poezji – Baudelaire’a, Rimbauda, Préverta, Éluarda – wreszcie do powieści Prousta, Stendhala, Camusa, Céline’a i bardziej współczesnych. Jeśli coś mu się udało jako ojcu, to właśnie to. Jego córce zdarzało się nawet dokonywać odkryć na własną rękę, na przykład od niedawna przeżywała – jak sama mówiła – „przygodę z Mallarmé”. Jego hermetyczne wiersze uważała za „mocniejsze od piosenek Bashunga”. Spróbował odrobiny bulionu z chochli, wsypał szczyptę soli i wrzucił warzywa. Dwadzieścia minut na małym ogniu i będą idealne. Otworzył butelkę fixinu i właśnie nalewał sobie kieliszek, kiedy zadzwieczała komórka. Przyszedł SMS. Dominique. Wczoraj i przedwczoraj nie odpowiadała na jego wiadomości. „Może dziś wieczorem?”, napisała. Wypił łyk wina. „Jem kolację z córką”, odpisał. Minęło kilka minut. Nie dostał odpowiedzi.

W drzwiach stanęła Chloé. Opierała się o framugę.

– Spróbuj – powiedział, wyciągając do niej kieliszek. – Burgund, fixin, z dwa tysiące dziewiątego, prezent od klienta.

Zakołysała kieliszkiem i powąchała, tak jak ją nauczył, a potem wypła łyk i niemal niezauważalnie skinęła głową, dokładnie tak, jak jej ojciec robił zawsze w restauracji.

– Kosmetyki do makijażu sugerowałyby, że ma około czterdziestki – zaczęła. – Nie wspominając o torebce Karzia. Trzydziestoletnia laska nie wybrałaby takiej torebki, a starsza nawet by na nią nie spojrzała.

– Nie mów laska. Co to za język! Jesteś w domu, nie w szkole. Mów dalej. – Wypił łyk wina.

Chloé westchnęła.

– Jest bardzo przywiązana do przeszłości. Lusterko jest stare, rodzinna pamiątka. Może należało do jej babci. Perfumy też nietypowe, nikt już nie używa Habanity. Pisze dziwne rzeczy w notesie. Autor, którego uwielbiasz, wpisał jej dedykację do książki... To kobieta dla ciebie – powiedziała z uśmiechem.

– Spodziewałem się po tobie więcej – odpowiedział trochę chłodno.

– Okej – powiedziała pojednawczo. – Nie denerwuj się. Pomysł z pralnią nie jest taki zły, ale mam lepszy.

– Zamieniam się w słuch – powiedział, pochylając się nad garnkiem.

– Powinieneś pogadać z Modiano.

Wzruszył ramionami.

– Słyszysz? Mówię poważnie. Musisz go zapytać, tylko on ją zna. Pewnie ją pamięta.

– Nie znam Modiano, Chloé – powiedział, zmniejszając ogień pod garnkiem.

– Ale znasz masę pisarzy, a on mieszka w tym samym mieście. Chyba ci się uda z nim skontaktować?

– Chyba mieszka przy Ogrodzie Luksemburskim, ale nie mam jego adresu.

– Poproś jego wydawcę.

– No co ty, Chloé. Wydawca nigdy mi nie da jego adresu.

– Wymyśl coś. W każdym razie musisz go znaleźć. – Chloé wzięła jego kieliszek i wypła łyk. –

Zakochałeś się? – zapytała po chwili.

– W kim się zakochałem? – odpowiedział, zdejmując z garnka pokrywkę.

– We właścicielce czerwonego notatnika.

– Ależ skąd, po prostu chcę jej oddać torebkę. Przynieś talerze.

Chloé odstawiła kieliszek i położyła na stole dwa nakrycia.

– A co u Dominique? – spytała niewinnie.

– Trochę się posprzeczailiśmy – odpowiedział chłodno.

– Pokazałeś jej torebkę? – nie odpuszczała Chloé.

– Dlaczego pytasz?

– Bo jeśli ją widziała, mogła nieźle spanikować.

Spojrzał na nią. Chochla, którą trzymał w ręku, zawisła w powietrzu.

– Mogła się przestraszyć, że będziesz chciał poznać tę kobietę – wyjaśniła Chloé. Każdą sylabę

wymawiała przesadnie wyraźnie, jakby jej ojciec był upośledzony.

Laurent nalał jej i sobie bulionu.

– Pomówmy o czymś innym.

Minęły dwie godziny. *Pot-au-feu* został uznany za najlepszy na świecie, a wiadomość, którą wysłał

Dominique, pozostała bez odpowiedzi. Chloé w skarpetkach i długim T-shircie rozsiadła się na kanapie.

Włączyła telewizor i oglądała jakiś reality show. Kobiety z miasta umawiały się na randki z mężczyznami

ze wsi, w nadziei – raczej płonnej – że znajdą życiowego partnera. Gdzieś między zwiedzaniem obór

a sielankowymi przechadzkami po lesie nieprawdopodobne pary wyznawały sobie miłość przed

kamerzystami i dźwiękowcami, którzy starali się nie uronić ani słowa. Jak ci mężczyźni żyjący w zabitych

dechami wsiach, w których nie sposób przejechać na motorowerze pod oknami sąsiadów i pozostać

niezauważonym, mogli się oddawać tym miłosnym podchodom – bezwstydnym i niezręcznym – na oczach

milionów widzów? Dla Laurenta było to zagadką.

„Chciałem przez to powiedzieć... że bardzo mi się podobasz” – dukał nieśmiało mocno zbudowany,

krzepki chłopak z włosami ostrzyżonymi na jeża. „Ach tak – dziwiła się kobieta. – To bardzo miłe, Jean-

Claude, ale, jakby to powiedzieć... Wolałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Może będziemy do siebie

pisać?” – dodała ze sztucznym entuzjazmem. Do rolnika z wolna docierało, że dostał kosza. Jego

spojrzenie błędziło po rysujących się na horyzoncie wzgórzach Owernii. Najwyraźniej nie był

szczególnie zachwycony tą epistolarną propozycją. „Nie gniewasz się na mnie?” – zaszcebiotała kobieta

ze współczuciem, jak matka, która odmówiła dziecku ciastka. „Nie, oczywiście, że nie” – mruknął pod

nosem Jean-Claude.

– Długo jeszcze będziesz oglądać te bzdury? – Laurent westchnął.

– Daj spokój, uwielbiam to – odpowiedziała Chloé. Zadzwoniła jej komórka. Najwyraźniej jej przyjaciółka Charlène oglądała ten sam program. – Masz rację, tak, rzeczywiście jest podobny, to po prostu on! – krzyknęła Chloé, zwijając się ze śmiechu.

Laurent przypomniał sobie rozmowy z Pascalem, kiedy jeszcze chodzili do liceum. Oni oczywiście gadali przez telefon stacjonarny. Jeśli coś dobrze ilustruje okres, kiedy się jest nastolatkiem, to właśnie te szalone wybuchy śmiechu. Później nikt już tak nie reaguje. W młodości, kiedy uświadamiamy sobie absurdalność życia i świata, śmiejemy się do utraty tchu. Dwadzieścia lat później na tę samą myśl co najwyżej wzdychamy z rezygnacją.

Od: [czerwonyzeszyt@gmail.com]

Do: [ksiegarnia_stronazastrona@wanadoo.fr]

Temat: Pytanie

Cześć, Jean!

Krótkie pytanie: czy to Ty mi mówiłeś, że często spotykasz Modiano na porannym spacerze w Ogrodzie Luksemburskim?

Laurent

Od: [ksiegarnia_stronazastrona@wanadoo.fr]

Do: [czerwonyzeszyt@gmail.com]

Temat: Pytanie

Cześć, Laurent!

Tak, to ja. Widziałem go w poniedziałek. Dobrze się składa, że piszesz, widziałem na stronie Électry, że został Ci egzemplarz

Pochwały piękna Paula Kavanskiego. Mój dobry klient potrzebuje tego na dziś wieczór. Odłożysz ją dla niego?

Od: [czerwonyzeszyt@gmail.com]

Do: [ksiegarnia_stronazastrona@wanadoo.fr]

Temat: Pytanie

Odłożyłem Ci Kavanskiego. A o której widzisz Modiano i w której części parku?

Od: [ksiegarnia_stronazastrona@wanadoo.fr]

Do: [czerwonyzeszyt@gmail.com]

Temat: Pytanie

Podsylam Ci swojego klienta, nazywa się Marc Desgranchamps. Dzięki! Modiano spotykam około dziewiątej, często pod

Oranżerią. Po co Ci on?

– Trudne pytanie mi pan zadał. Nie pamiętam... chociaż nie... coś mi świta. Tak... to było dwa tygodnie temu, może trochę dawniej... przy Odéonie. Padało. Zatrzymała mnie na ulicy i poprosiła, żebym jej podpisał książkę. Wyciągnęła ją z torebki. Wyglądała na onieśmioną, jakby... nie czuła się swobodnie, chociaż nie, to nie to... po prostu czuło się, że nie robi takich rzeczy codziennie, ja zresztą też nie. Oboje trochę... nie za bardzo wiedzieliśmy... co powiedzieć... Było ładnie, takie żółte światło, to na pewno przez burzę... Wyglądała na jakieś czterdzieści lat, była ubrana... w czarny wełniany płaszcz i miała ciemne włosy do ramion... Bardzo jasne oczy, może szare... jasna cera. Była naprawdę ładna, padało... miała krople deszczu na twarzy... bardzo ładny uśmiech, była niewysoka i miała pieprzyk nad górną wargą, po prawej stronie. Czerwona szminka, odcień koralowy, i buty na wysokich obcasach, z paskiem wokół kostek. Bez pończoch... w każdym razie tak to pamiętam.

Zamilkł. Laurent przyglądał mu się z ciekawością. Patrick Modiano był jedyny w swoim rodzaju. Tylko on mógł oznajmić, że nie pamięta kobiety, którą spotkał na ulicy, a potem opisać ją tak, że nawet policja śledcza wpadłaby w zachwyt.

– Dziękuję – powiedział Laurent półgłosem.

Modiano wciąż patrzył na niego z tym wyrazem niemego niepokoju, który zawsze migotał w jego źrenicach.

– Zadał pan sobie tyle trudu... Tak na mnie czekać w parku... Coś jej się stało?

Laurent wolał się nie zastanawiać, dlaczego tak się zaangażował w te poszukiwania. Wcześniej wypił trzy kawy i jedno grzane wino w Rostandzie, żeby dodać sobie odwagi. Już drugi dzień czaił się w Ogrodzie Luksemburskim jak pasjonat ornitologii wypatrujący przez lornetkę rzadkiego ptaka, nawet nie po to, żeby zrobić mu zdjęcie. Jakby samo zobaczenie zwierzęcia było czymś tak wyjątkowym, że wynagradzało zawiązką długie dni, jeśli nie tygodnie siedzenia w krzakach. Dla Laurenta rzadkim ptakiem był zdobywca Nagrody Goncourtów z 1978 roku. Poprzedniego dnia Modiano nie zjawił się w parku. Laurent wrócił do swojej dzielnicy około dziewiętej trzydzieści. Tym razem wstał o świcie i czekał pod Oranżerią od siódmej rano, i wreszcie na końcu alejki dostrzegł wysoką sylwetkę pisarza. Podniósł się z ławki z tym samym biciem serca, jakie czują ornitolodzy, kiedy wreszcie zobaczą trzciniaka wielkodziobego. Właściwie było to nawet silniejsze: jakby zauważył mitycznego ptaka dodo, który wymarł pod koniec osiemnastego wieku.

Autor *Willi Triste* przechadzał się bez wyraźnego celu z rękami w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza, z niewidzącym spojrzeniem wlepionym w jakiś punkt daleko poza granicami parku. Zerwał się lekki wiatr i potargał mu siwe włosy. Laurent ścisnął w dłoni egzemplarz *Nocnego wypadku* i ruszył w jego stronę. Żadne inteligentne zdanie, od którego mógłby zacząć, nie przyszło mu do głowy. Dobrze byłoby chociaż złapać jego wzrok, pomyślał, i nagle ich spojrzenia się spotkały. Laurent się uśmiechnął. Na wargach pisarza również pojawił się przelotny, niemal niedostrzegalny uśmiech. W tym momencie

słowa popłynęły same:

– Dzień dobry, przepraszam.

Modiano zrobił mały krok w tył, jak domowe zwierzątko szykujące się do ucieczki, nagle przestraszone, kiedy ktoś chce je pogłaskać. Laurent wyciągnął w jego kierunku *Nocny wypadek*, jak policjant pokazujący odznakę.

– Proszę się nie obawiać – powiedział. – Chciałem pana tylko o coś zapytać. Nazywam się Laurent Letellier, jestem księgarzem, ale moje pytanie nie ma nic wspólnego z moim zawodem. Chodzi o kogoś, kogo szukam.

Patrick Modiano poprawił kołnierz nieprzemakalnego płaszcza i spojrzał na niego z lekkim roztargnieniem.

– Tak... Proszę mówić... Słucham pana.

Opowiedział mu więc o torebce.

– Ach tak... damska torebka... porzucona, ot tak.

Laurent zobaczył na jego twarzy niepokój, jakby ta historia w najwyższym stopniu go wzburzyła. Jakby mógł przez nią mieć koszmary. Miał wrażenie, że swoim amatorskim śledztwem zburzył poranny spokój jednego z największych żyjących pisarzy. Zaczął go przeproszać. Z każdą sekundą świadomość absurdalności własnych poczynań docierała do niego coraz wyraźniej. Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Ale Modiano mówił dalej:

– Trudne pytanie mi pan zadał. Nie pamiętam... chociaż nie... coś mi świta.

Szli teraz ramię w ramię.

– Tak... Trzeba... ją znaleźć i oddać jej torebkę... Ta historia musi znaleźć zakończenie – myślał na głos Modiano.

Wymienili jeszcze kilka banałów o pogodzie i zimowej aurze Ogrodu Luksemburskiego.

– No cóż, niespecjalnie panu pomogłem...

– Ależ tak, bardzo mi pan pomógł – powiedział Laurent. – I dziękuję, dziękuję za wszystkie pana książki.

– Dziękuję – mruknął Modiano. – I... powodzenia.

Uścisnęli sobie ręce. Modiano dodał – z pewnością przez grzeczność – że może pewnego dnia zajrzy do jego księgarni, jeśli będzie tamtędy przechodził. Laurent patrzył, jak się oddala. Nadciągnął kolejny podmuch wiatru. Dół jego płaszcza zakołysał się jak spódnica w tańcu, a potem pisarz zniknął za zakrętem, jakby się rozpułnął w powietrzu.

Udało się. Sprostą wyzwaniu, które rzuciła mu córka. Rozochocony tym sukcesem postanowił zrobić rundkę po pralniach chemicznych. Był czwartek, sukienka na ramiączkach już gdzieś czekała. Wrócił do Czerwonego Zeszytu i oznajmił Maryse i Damienowi, że nie będzie go kilka godzin. Wyszukał na mapach Google dziewięć pralni chemicznych znajdujących się mniej więcej w promieniu kilometra, wydrukował plan, każdą z nich oznaczył krzyżykiem i ruszył na polowanie. Kilka przejazdów metrem, kilka przechadzek – jak dobrze pójdzie, do południa obejdzie wszystkie.

Nawet wcześniej, bo punkt o jedenastej, szedł już ulicą, ostrożnie niosąc wieszak, na którym powiewała na wietrze biała sukienka obleczona w przezroczysty plastik pralni Afrodyta – „Dbanie o wasze interesy leży w naszym interesie”. Był w sześciu pralniach. W czterech powiedziano mu, że to nie ich kwit, w piątej przyniesiono mu siedem wyprasowanych krawatów od Hermès. Laurent wiedział, że w branży galanteryjnej słynny dom mody nie ma sobie równych, ale jego zdaniem upierał się przy projektowaniu najohydniejszych krawatów świata: lisy, ślimaki, konie i psy na musztardowych i niebieskich jedwabnych tłach. Właśnie takiej kolekcji krawatów odpowiadał numer kwitu: 0765. Na chwilę utknęli w małym *qui pro quo*, ale w końcu właściciel zorientował się, że to nie ich kwit. Kobieta z szóstej pralni bez słowa przyniosła sukienkę na ramiączkach. Kosztowało go to dwanaście euro. Odpowiedź na pytanie, które niemal parzyło mu wargi, była równie prosta jak rozczarowująca: „Nie, nie pamiętam, kto oddawał sukienkę. Niestety”.

Imię – i teraz również twarz: ciemne włosy do ramion, piękny uśmiech, niewysoka, z pieprzykiem nad górną wargą. Ale wciąż bez nazwiska. Laurent, podekscytowany spotkaniem z Modiano i bardzo dumny, że akcja pralnia zakończyła się sukcesem, musiał przyznać, że wyczerpał wszystkie możliwości.

Wszedł do domu i powiesił sukienkę na drzwiach biblioteczki. Zrobił kilka kroków w tył, wrócił, zdjął ją i przyłożył do siebie. Oszacował, ile Laure może mieć wzrostu, i przesunął sukienkę trochę poniżej swoich ramion. W przeszklonych drzwiach biblioteczki widział odbicie, jak stary dagerotyp, na którym twarz i ciało kobiety zatarły się z biegiem lat i zostało tylko jej ubranie. I mężczyzna. Mężczyzna i jego widmowa ukochana. Przez szybę prześwitywały grzbiety powieści, które kolekcjonował, starych, oryginalnych wydań, serii *Pléiade* Gallimarda, powieści z autografami autorów, których Czerwony Zeszyt gościł na spotkaniach autorskich. Oczywiście miał w domu dużo więcej książek. W biblioteczce były te, do których czuł największy sentyment. Starał się nawet, żeby autorzy, którzy do siebie nie pasują, nie stali obok siebie. A więc Céline nie mógł się znaleźć obok Sartre’a, a Houellebecq obok Robbe-Grilleta. Odbicie siebie samego pozującego na stojąco z sukienką przywiodło mu na myśl tytuł powieści Johna Irvinga – *Wymyślona dziewczyna*. Nie opowiadała o właścicielu księgarni, który znalazł torebkę nieznanego kobiety. To były wspomnienia Irvinga z czasów studiów. Pisał o pierwszych kursach literatury i zapasach grecko-rzymskich. Laurent odwiesił sukienkę i odwrócił się w stronę zielonego stolika. Kamyki, lusterko, kosmetyczka, klucze i breloczek z hieroglifami, „Pariscope”, pamiętnik,

kieszonkowe wydanie Modiano, długopis Montblanc, spinka do włosów z niebieskim kwiatkiem, przepis na grasicę cielecą, torebka cukierków lukrecjowych. Wziął jeden. Nic z tego nie będzie. Jego śledztwo utknęło w martwym punkcie. Bez nazwiska nie uda mu się jej znaleźć. Ale pomyśl, żeby schować wszystko z powrotem do torebki i zanieść ją do biura rzeczy znalezionych przy ulicy Morillons, wydał mu się okropny, jakby miał oddać do schroniska psa albo kota, którym nie ma czasu się zajmować. Nagle poczuł się bardzo przygnębiony. Na poważnie rozważył, czy nie zostawić rzeczy Laure na zielonym stoliku na zawsze. Byłyby jak obrastające kurzem bibeloty, pamiątki rodzinne albo drobiazgi z wakacji, które coraz bardziej wtapiają się w wystrój domu. Zgasił światło i zszedł na dół, do Czerwonego Zeszytu. W ciemności biała sukienka świeciła niemal fosforyzująco.

To był zły pomysł. Pomysł, na jaki mogła wpaść tylko Dominique: spotkać się w towarzystwie innych ludzi, zamiast na kolacji w cztery oczy, żeby mogli pogadać, wyjaśnić sobie i załagodzić całą tę sprawę z torebką i spinką do włosów. Neutralne spotkanie na neutralnym gruncie, tak to sobie obmyśliła. W nowej winiarni Śpiewająca Muza – otwartej przez parę grafików, którzy postanowili zmienić branżę. Będzie ich siedmioro: małżeństwo dziennikarzy – którzy pobrali się po raz drugi i mieli świętować drewnianą rocznicę (piątą) – architekt, sekretarz stanu, attaché prasowa i oni. Kiedy dotarł na miejsce, prawie wszyscy siedzieli już przy stole w głębi przed zielonym kir royal, który okazał się szampanem z syropem z bazylii. Pozdrowił wszystkich, przelotnie pocałował Dominique w usta i usiadł naprzeciwko. Chyba się ucieszyła, że go widzi.

– Czekamy jeszcze na Pierre’a, ale nie odbiera telefonu. Nie wiem dlaczego – oznajmił sekretarz stanu z niezadowoloną miną człowieka, który ma na głowie dużo spraw i nie cierpi nieprzewidzianych sytuacji.

Dominique wysunęła przypuszczenie, że jego lot został odwołany – wracał z Madrytu. Żona od piątej rocznicy ślubu wyraziła nadzieję, że nie zdarzył się żaden wypadek, a attaché prasowa stawiała raczej na pomyłkę w kalendarzu. Laurent zwrócił się do wszystkich: wzniósł toast za drewnianą rocznicę pary, którą widział pierwszy raz w życiu. Architekt Pierre nie dotarł. Jego krzesło do końca pozostało puste. Laurent pomyślał, że pewnie wolał zostać w Madrycie i jeść tapas w towarzystwie jakiejś tancerki flamenco, ale postanowił nie dzielić się tą hipotezą z innymi. Rozmawiali o polityce i o wystawach, które można było zobaczyć w Paryżu. Od czasu do czasu jego oczy napotykały oczy Dominique. Patrzyli na siebie przez chwilę bez słowa, a potem odwracali wzrok. Milczące porozumienie zawarte w tych przelotnych spojrzeniach było raczej udawane niż rzeczywiste – daleko im było do spojrzeń z tego wieczoru w Czerwonym Zeszyście, kiedy się poznali. Do spojrzeń, którymi wyznawali sobie – niemal telepatycznie – że nic ich nie powstrzyma od spędzenia tej nocy razem. To było trochę ponad rok temu. Bawełniana rocznica, uściśliło małżeństwo od rocznicy drewnianej. Czy będą świętować następną? Laurent coraz bardziej w to wątpił. Są takie miłości, krótkotrwałe i ulotne, których śmierć jest zaprogramowana, wiadomo, że nastąpi, od chwili ich narodzin, nawet jeśli uświadomiamy to sobie dopiero, kiedy się kończą.

Po przystawce – tatarze z łososia bio z owocami leśnymi *fair trade* – przeszli do filetów z kurczaka gotowanych na parze z warzywami (wciąż bio), polanych pikantnym sosem według starego peruwiańskiego przepisu przywiezionego przez grafików restauratorów z którejś z licznych podróży. Wszystko bardzo modne i na czasie. Dominique opowiadała o serii artykułów na temat kryzysu, które chciałyby opublikować na łamach dodatku ekologicznego do „Le Monde”. Laurent odpłynął.

– Jak tam twoja torebka?

To pytanie trafiło w chwilę ciszy. Laurent musiał opowiedzieć wszystkim o torebce.

– Chciałabym, żeby jakiś mężczyzna mnie tak szukał – oświadczyła attaché prasowa, wychylając do

dną trzecią kieliszek wina. – Może nawet skończyłoby się ciekawą znajomością. Tak się nudzę z Markiem i dziećmi.

Ta uwaga trochę wszystkich zmroziła.

– No co? – podjęła attaché. – Taka jest prawda. Po dwudziestu latach małżeństwa człowiek się nudzi, nic nie poradzę, tak już jest.

Dominique poprosiła sąsiada, sekretarza stanu, żeby jej dolał wina. Laurent wyciągnął rękę w stronę butelki, ale tamten był szybszy.

– Robił pan kiedyś spotkanie autorskie z Jeanem Echenozem? – zapytała nagle żona od drewnianej rocznicy.

– Tak, podpisywał *Ravela*.

– A jaki tytuł miała ta powieść, za którą dostał Nagrodę Goncourtów?

– *Odchodzę* – odpowiedział Laurent.

– Dominique mówiła mi, że poznał pan też Amélie Nothomb.

– Tak, znam Amélie.

Attaché prasowa zapytała, czy ta historia o upodobaniu do zepsutych owoców, którą pisarka opowiada od lat, jest prawdziwa. Nie umiał jej odpowiedzieć. Nigdy nie rozmawiał z Amélie Nothomb o jedzeniu.

Potem przestali mu zadawać pytania. Przeszli do innych tematów: związków, rodzin i dzieci. Głosy współbiedniaków coraz bardziej się mieszały. W końcu zlały się w jednostajny gwar. Laurent nie słuchał. Jego spojrzenie powędrowało w stronę pustego krzesła architekta. Dolał sobie wina i popijał z bladym uśmiechem, ze wzrokiem wbitym w puste miejsce. Skoncentrował się i odniósł wrażenie, że dostrzega w powietrzu zarys sylwetki. Tak, im mniej miał w kieliszku, tym stawała się wyraźniejsza. Siłą umysłu powoływał kogoś do życia. Tylko on ją widział. Miała ciemne włosy do ramion, jasną cerę, bardzo jasne oczy, pieprzyk po prawej stronie nad górną wargą i usta pomalowane czerwoną szminką, wpadającą w odcień koralowy. Nudziła się na tej kolacji tak samo jak on i – teraz nie miał już co do tego wątpliwości – to do niego się uśmiechała. Nikt nic nie zauważył – łączyło ich sekretne porozumienie. Jeśli skupi się jeszcze bardziej, zobaczy, jak wstaje i podchodzi do niego, pochyla się do jego ucha i szepcze: „Chodźmy stąd, Laurent”.

– Idziesz ze mną?

Laurent odwrócił się do Dominique.

– Chcę zapalić, pójdziesz ze mną?

Na dworze było zimno. Dominique zapaliła papierosa, chowając się przed wiatrem. Wydmuchnęła pierwszy obłoczek dymu.

– Wydaje mi się, że to już nie działa – powiedziała po chwili milczenia.

– Mnie też się tak wydaje – odpowiedział Laurent po prostu.

– Wydaje mi się, że kogoś masz.

Laurent milczał.

– Myślałeś o niej cały wieczór, to oczywiste... Wydaje mi się, że nasze drogi się tu rozchodzą.

Można by napisać całą listę tych wydaje mi się, przemknęło mu przez głowę. Dominique podeszła do niego, zanurzyła palce w jego włosach. W jej uśmiechu dostrzegł rozczarowanie.

– Życzę ci wspaniałych przygód, Laurent. Nigdy więcej do mnie nie dzwoń – dodała lodowatym tonem. Wyrzuciła ledwie napoczętego papierosa i wróciła do restauracji.

No i proszę, skończyło się. Jak można tak łatwo zniknąć z czyjegoś życia? Może to ta sama łatwość, z jaką się w nie wchodzi. Przypadek, kilka słów, które się ze sobą zamienia – i już mamy początek związku. Przypadek, kilka słów, które się ze sobą zamienia – i już mamy koniec związku.

Wrócił do środka po kilku minutach, ale pragnienie, żeby ukradkiem zapłacić swoją część rachunku i wymknąć się po angielsku było nie do odparcia. Ile rzeczy czujemy się zmuszeni robić dla zasady, bo tak wypada, bo tak nas wychowano – mimo że nam ciążyą i ostatecznie i tak nic nie zmieniają? Dominique już do niego nie patrzyła. Pograżyła się w poufalej rozmowie z sekretarzem stanu. Uśmiechał się do niej promiennie. Laurent zastanawiał się, czy nie patrzy na swojego następcę. Odczekał dobry kwadrans – przez ten czas nikt nie odezwał się do niego ani słowem – i nie miał już wątpliwości: sekretarz stanu robił postępy. Dominique w odpowiedzi na jego awanse uśmiechała się coraz bardziej prowokująco. Tytuł powieści Jeana Echenoza był zachętą, której teraz nie musiał się już opierać. Odchodził. Wstał i powiedział:

– Na mnie już czas.

Kiedy szedł w stronę kasy, usłyszał, jak Dominique mówi:

– Nie przejmujcie się.

To też byłby piękny tytuł.

Frédéric Pichier dotarł do księgarni punktualnie o dziewiętnastej. Czytelnicy już czekali. Zdjął szalik i kurtkę z kapturem, uściśnął dłonie wszystkim pracownikom i powiedział, jak bardzo jest wzruszony komplementami Laurenta. Ten zaprowadził go do małego biurka, które dla niego przygotowali. Pisarz zasiadł za stosami *Z niebem zamiast dachu* i kilku swoich poprzednich powieści. Maryse przyniosła mu kubek grzanego wina i ciastka. W księgarni było dobre czterdzieści osób, kolejne tłoczyły się w drzwiach. Laurent usiadł obok. Uśmiechnął się do audytorium – gwar ucichł jak przecięty nożem – podziękował autorowi, że był tak miły i zgodził się przyjąć zaproszenie Czerwonego Zeszytu, i klientom za tak liczne przybycie mimo mrozu, a potem przedstawił Frédérica Pichiera. W kilku zdaniach opowiedział o jego dziełach, życiu i ostatniej książce i zadał pytania, które starannie wynotował na marginesach. Pisarz odpowiedział, rozległy się oklaski, a potem Laurent oddał gościa w ręce czytelników. Damien rozdawał kubki z grzany winem, klienci ustawiali się grzecznie w kolejce po autografy. Laurent złapał w przelocie kubek i podszedł do Maryse.

– Świetnie, przyszło sporo ludzi... – powiedział półgłosem.

– I ciągle wchodzą kolejni – odpowiedziała, odwracając się w stronę drzwi. – Nie będzie twojej dziewczyny?

– Dominique nie jest już moją dziewczyną, Maryse – odpowiedział, wpatrując się w pływającą w winie laskę cynamonu.

– Przykro mi, Laurent. Że też zawsze muszę coś palnąć.

– Nie przejmuj się, to nic takiego, naprawdę – odpowiedział, biorąc ją za rękę. – Mam kogoś innego – dodał i w tej samej sekundzie zadał sobie pytanie, co mu strzeliło do głowy, żeby to powiedzieć.

Pichier słuchał z uśmiechem komplementów czytelniczki, Françoise. Odpowiadał na typowe pytania: „Skąd pan bierze pomysły? Jak długo pisał pan ostatnią książkę? Musiał pan najpierw zebrać mnóstwo materiału...”. Kiedy czytelniczka dedykację: „Dla Françoise, mojej czytelniczki...”, kobieta zadała rytualne pytanie:

– Pracuje pan już nad następną powieścią?

– Tak – odpowiedział lakonicznie.

Rzeczywiście, od dwóch i pół miesiąca męczył się z nową – gównianą, jak mówił bliskim – intrygą. Ciągle jeszcze nie przedstawił jej wydawcy. Była to historia młodej służącej osadzona w realiach początku dwudziestego wieku. Planował ją z rozmachem jako panoramę społeczną łączącą świat wsi i paryskiej burżuazji. Utknął na czterdziestej stronie. Marie, młodziutka służąca, wdaje się w burzliwy i namiętny romans z pomocnikiem rzeźnika. Tymczasem młody panicz, syn jej pracodawców, nieśmiały esteta kolekcjonujący chrząszcze, marzy o niej w skrytości ducha. W chwilach paniki Pichierowi zdawało się, że spłodzi potwora – że będzie pierwszym pisarzem, który połączy prozę Jorisa-Karla Huysmansa i Marca Levy’ego. Bywały takie popołudnia, kiedy szczerze życzył swojej bohaterce, żeby zginęła

okrutną śmiercią. Więcej niż raz przyszło mu też do głowy, że mógłby na resztę życia zamknąć młodego potomka rodu w zakonie trapistów. Zdecydowanie mu nie szło. Zdarzało się, że napisał trzy zdania, a potem do wieczora siedział przed komputerem i surfował po sieci, zwłaszcza po eBayu, w poszukiwaniu rzeczy, których tam oczywiście nie było. Googłował też, rzecz jasna, jak wszyscy koledzy po fachu swoje nazwisko i tytuły książek. Tropił recenzje na blogach i stronach literackich, uśmiechał się, kiedy znalazł przychylną, i złorzeczył na te bardziej umiarkowane, które kończyły się obraźliwym: „Z tej powieści nie zostanie mi wiele wspomnień”. Czasem, pod pseudonimem, sam pisał na Fnac.com albo Amazon.com. Wychwalał pod niebiosa wielki talent Frédéric Pichiera. Ostatnio, ukrywając się pod nickiem Mitsi, ośmielił się nawet napisać na Babelio.com: „Kto wie, może pewnego dnia Goncourci trafią do Pichiera?”. Jak wielu pisarzy miał też inny zawód. Uczył francuskiego w szkole na przedmieściach Paryża, w liceum imienia Pabla Nerudy, sąsiadującym zresztą z przedszkolem imienia Robespierre’a. Po dwudziestu jeden latach nauczania czuł się wyczerpany. Wyczerpany nerwowo. Zachęcany przez wydawcę i bliskich wziął roczny urlop, żeby poświęcić się wyłącznie pisaniu. Ale teraz, codziennie zmagając się w samotności z blokadą twórczą, żałował tego i tęsknił za uczniami. Może i byli hałaśliwi i cwani, może i przejawiali absolutny brak kultury. Musiał jednak przyznać, że dni, które spędzał z nimi, były nieskończenie bardziej pobudzające niż te, które tracił przed komputerem. Literaturę często odbierali w sposób zaskakujący. Markiza de Merteuil była dla nich ryczącą czterdziestką, a Valmont – ciachem. Przez miesiąc analizowali *Niebezpieczne związki*, jakby oglądali serial telewizyjny. Podzielił książkę na kawałki: sezon pierwszy, sezon drugi i tak dalej. Już sam tytuł im się spodobał. Brzmiał nowocześnie, seksownie i przewrotnie – to wystarczyło, żeby ich zaciekawić. Na swój sposób doskonale zrozumieli, o co chodziło osiemnastowiecznemu autorowi. *Pani Bovary* była dla większości chłopców przyciężką historyjką o lasce, która za bardzo się przejmuje. Dziewczęta lepiej rozumiały jej problemy. Jeśli chodzi o świat kopalni w *Germinalu*, dla całej klasy była to czysta fantastyka. *Miłość Swanna* z końcowym zdaniem: „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia, że chciałem umrzeć, że przeżyłem swoją największą miłość – dla kobiety, która mi się nie podobała, która nie była w moim typie!”¹, wzbudziła większe zainteresowanie. Niektórzy chłopcy odnajdywali związek między myślą Prousta a własnymi sercowymi porażkami: ostatecznie rzecz sprowadzała się do tego, że koleś zabijał się w gorącej lasce, która zupełnie do niego nie pasowała. W końcu zdał sobie z tego sprawę i dzięki temu zaczął dużo myśleć o sobie i własnym życiu – podsumował błyskotliwie Hugo. Czwórka z minusem – dobre zrozumienie tekstu, ale mało rozwinięta analiza, uważaj na ortografię, Hugo. Kilkoro uczniów, głównie dziewczyny, przeczytało *Z niebem zamiast dachu*. Mała Djamilą poprosiła go nawet o dedykację. Zadała przy tym kilka celnych pytań o konstrukcję książki. Wzruszyło go to i jednocześnie napełniło optymizmem.

Podpisywał kolejne egzemplarze, uśmiechał się do czytelników i opróżniał kolejne kubki grzanego wina. Laurent podszedł do niego i zapytał:

– Wszystko w porządku?

– Świetnie, świetnie – odpowiedział.

– Sprzedaliśmy trzydzieści egzemplarzy – szepnął mu Laurent do ucha.

Pichier z zadowoleniem pokiwał głową.

– Dzień dobry – powiedział do czytelniczki, która podeszła do stolika. – Dzień dobry... Natalie – dodał z porozumiewawczym uśmiechem, zerkając na jej dekolt.

– Skąd pan wie, jak mam na imię?! – wykrzyknęła.

Pichier uśmiechnął się pod nosem, zadowolony, że zrobił na niej wrażenie.

– Nosi je pani na szyi – powiedział, przymykając oczy.

Natalie położyła dłoń na pozłacanym naszyjniku.

– Umie pan czytać hieroglify? – spytała z podziwem.

– Napisałem *Łzy piasku* – odpowiedział, biorąc książkę z malejącego stosu. – Część akcji toczy się w Egipcie. Nauczyłem się hieroglifów, kiedy zbierałem materiały do książki.

– Zaraz wracam – powiedział nagle Laurent. Zaczął sobie torować przejście między klientami tłoczącymi się przy drzwiach. Wszedł na górę, do mieszkania, otworzył drzwi, zapalił światło, podszedł do obleczonego zielonym materiałem stolika, złapał leżący na nim pęk kluczy i niemal bez tchu przyjrzał się breloczkowi z hieroglifami. Teraz rozumiał: to nie breloczek, lecz naszyjnik, podobny do tego, który nosi czytelniczka Pichiera, tylko że właścicielka torebki przyczepiła go do kółka przy kluczach. Wszedł, zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł na dół.

Przy stoliku Pichiera wciąż siedziała ta sama kobieta. Poprosiła, żeby podpisał dwie książki – *Łzy piasku* dla jej męża i ostatnią powieść dla niej. Pichier cyzelował dedykacje, a Laurent przeciskał się do stolika. Musiał poczekać, aż klientka opowie do końca barwną rodzinną anegdotkę o prababci. Rzecz działa się podczas pierwszej wojny światowej i do złudzenia przypominała jakieś zdarzenie, które Pichier opisał w książce. Wreszcie się pożegnała. Laurent wcisnął się przed kolejnego czytelnika.

– Muszę panu na chwilę przeszkodzić – powiedział. – Mógłby mi pan to przeczytać? – Położył pęk kluczy na okładce książki.

Pichier wziął go do ręki, poprawił okulary i przyjrzał się uważnie egipskim znakom.

– Tak... – mruknął. – Laure... – Potem odwrócił zawieszkę: – Va... Vala... Valadier. Laure Valadier.

Milczenie jest złotem. Zdanie wyryte nad wejściem do pracowni ręką samego Alfreda Gardhiera (1878–1949) nabrało teraz dla Williama szczególnego znaczenia. Minęły cztery dni, a Laure wciąż się nie obudziła. Choć profesor Baulieu zapewniał go, że rezonans mózgu, który wykonali dwa dni wcześniej, nie wykazał żadnych zmian, wiedział, że przedłużająca się śpiączka nie wróży nic dobrego. Uniósł na nożu złoty płatek, położył go na poduszeczce z cielejącej skóry i dmuchnął leciutko – płatek się wygładził, formując doskonały prostokąt. Czubkiem noża podzielił go na pół, przeciągnął pędzelkiem z włosia kuny po policzku i delikatnie złapał pierwszą połówkę – naelektryzowany płatek uniósł się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nałożył go jednym ruchem nadgarstka na mokre drewno. Płatek złota w ułamku sekundy oblepił drewniane wypukłości, dołączając do siedemdziesięciu pięciu innych, które William zdążył nałożyć od rana. Jeszcze dwa i renowacja wysokiego ściennego lustra zwieńczonego herbem szlacheckiej rodziny Rivaille będzie prawie skończona. Potem trzeba jeszcze będzie wypolerować powierzchnię agatem, żeby złoto błyszczało tak jak kiedyś.

Od czterech dni miejsce Laure w pracowni było puste. Kiedy nie przyszła w czwartek rano, wiedział, że coś się musiało stać. O jedenastej nagrał się jej na komórkę. O dwunastej zostawił kolejną wiadomość. O trzynastej zadzwonił na numer domowy. Podczas obiadu z Agathe, Pierre’em, François, Jeanne i Amandine, pozostałymi znajomymi z pracy, rozmawiali głównie o tym, że jej nie ma. Kiedy wrócił, ustalił z Sébastienem Gardhierem – czwarte pokolenie właścicieli pracowni – że najlepiej będzie pójść do niej do domu. „Tu znów William, wychodzę z pracowni, wpadnę do domu po klucze Belphégora i przyjadę do ciebie” – nagrał się po raz ostatni. Właśnie tak zawsze mówili o zapasowych kluczach do jej domu. Używał ich tylko wtedy, kiedy Laure nie było i ktoś musiał nakarmić kota.

Dwa razy zadzwonił do drzwi. Nikt się nie odezwał, więc zdecydował się wejść. Ledwie uchylił drzwi, kot, jak miał w zwyczaju, wymknął się na schody. Popatrzył na Williama, wygiął grzbiet w łuk i zaczął się cofać bokiem, z uszami po sobie. „Robi tak, kiedy się boi. Szykuje się do ataku” – przypomniało mu się, co mówiła Laure. A skoro kot się bał, to najwyraźniej coś się stało.

– Laure? – zawołał. – Jesteś tu?

Kiedy przekroczył próg, doznał silnego wrażenia *déjà-vu*. To, co zobaczył, nałożyło się na pewne wspomnienie. Nagle przypomniał sobie to popołudnie, kiedy wszedł do domu babci. Otworzył zapasowymi kluczami, bo nie zareagowała na dźwięk dzwonka. To popołudnie dziesięć lat temu, kiedy nie odpowiedziała, mimo że ją wołał. Popołudnie, kiedy po kolei otwierał drzwi do pustych pokoi. Na końcu do kuchni. Znalazł ją na podłodze. Martwą.

– Laure? – zawołał, otwierając drzwi do sypialni. A potem do gabinetu, łazienki, ubikacji i wreszcie do kuchni, na końcu korytarza.

Tym razem nikogo nie znalazł. Wszedł do salonu i usiadł na kanapie. Zaczerpnął powietrza. Odezwała się astma. W oskrzelach zaczęło świszczec. Poczuł znajome swędzenie w plecach. Wygrzebał w kieszeni

inhalator Ventoline i zaciągnął się dwa razy. Belphégor otarł się o jego nogi, połaskotał go ogonem.

– Wiesz, gdzie jest Laure? – zapytał William.

Ale kot milczał.

William głaskał go przez chwilę i zastanawiał się, co robić. Nie zauważył w mieszkaniu niczego niezwykłego. Zadzwoił jeszcze raz na komórkę, ale znów włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawił krótką wiadomość i wyszedł. Nie znalazł niczego niezwykłego, to pewne, a jednak coś się stało, i musiało to być coś poważnego, skoro nie przyszła do pracy i nie odbierała telefonu. Jeśli się nie odezwie do wieczora, zadzwoni na policję. W bramie zauważył wsuniętą pod drzwi białą kopertę. Był pewien, że jej nie było, kiedy wchodził. Pochylił się, podniósł ją i przeczytał: Do bliskich pani Laure Valadier.

Hotel Paris Bellevue

Szanowni Państwo!

Jesteśmy w posiadaniu informacji dotyczących naszej klientki, pani Laure Valadier, która wynajęła pokój w naszym hotelu w nocy dwunastego stycznia i zachorowała. Z góry dziękujemy za skontaktowanie się z naszą recepcją.

Z wyrazami szacunku

Dyrekcja

Tego wieczoru pozwolono mu tylko popatrzeć na nią przez szybę. Leżała w sali z innymi chorymi. Mężczyzna na sąsiednim łóżku był podłączony do respiratora. Laure, podłączona tylko do kroplówki, wyglądała, jakby spała.

Następnego ranka wrócił. Tym razem usiadł obok niej na krześle. Miała zamknięte oczy i spokojną twarz. Oddychała niemal niedostrzegalnie, ale regularnie. Cichy pokój był skąpany w słabym sztucznym świetle. Stało w nim sześć łóżek. Leżeli na nich mężczyźni i kobiety, wszyscy pogrążeni w głębokim śnie, który liczy się w dniach, tygodniach, a nawet latach – i w którym ich życie może zgaśnie, zostawiając ich bliskich z nierozwiązywalną zagadką: czy był świadomy w chwili śmierci, czy może odszedł już dawno temu? Tylko respirator sąsiada Laure wydawał miarowy, cichy odgłos, jak maszyna żyjąca własnym życiem, które nigdy nie ustanie. Ludzki gatunek odejdzie w przeszłość, ciała zmarłych zmienią się w pył i tylko ta pompa będzie trwać, powtarzać swój ruch, łagodnie się unosić i opadać przez całą wieczność.

– To ja, William – powiedział w końcu. – Jestem przy tobie. Podobno ludzie w śpiączce słyszą, jak się do nich mówi. Nie wiem, czy to prawda. Nie martw się o Belphegora, zajmuję się nim. Wcina swoją karmę o smaku kaczki, aż mu się uszy trzęsą. Amandine i Pierre przejęli dzisiaj twoją robotę. Skończą renowację *Dziewicy*. – Położył dłoń na jej dłoni. Żadnej reakcji. – Pod koniec tygodnia muszę pojechać na trzy dni do Berlina, po sklepienie tego Niemca, Schmidta czy Schmirta. Pamiętasz, chodzi o złotą sztukaterię.

Boję się burzy.

– Coś wymyślę w sprawie kota. Tak, znajdę jakieś rozwiązanie, nie martw się.

Boję się ogrodów zoologicznych. Boję się, bo zwierzęta są w klatkach.

– Musisz się obudzić. Musisz do nas wrócić, Laure.

Boję się, kiedy płynę statkiem.

– I to wszystko przez głupią torebkę. Mówiłem ci, żebyś jej nie kupowała, była za ładna.

Boję się, kiedy czegoś nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego tu jestem.

Boję się, kiedy nie wiem, gdzie jestem, i teraz nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, kiedy jestem.

Boję się, kiedy William do mnie mówi, a ja nie mogę odpowiedzieć.

Dni mijały jeden po drugim, między porannymi odwiedzinami u Laure a wieczornymi wizytami u Belphégora. Profesor Baulieu przyjął go w swoim gabinecie.

– Pańska siostra... Laure jest pana siostrą, prawda?

Miał siwe włosy zaczesane do tyłu, okrągłą twarz, oczy łagodne i jednocześnie roześmiane. Na pewno potrzeba dużo dystansu i – czasem – poczucia humoru, żeby poświęcić życie takiej pracy, pomyślał William.

– A jak pan myśli? – odpowiedział ze smutnym uśmiechem.

– Myślę... nie, nie jest pan jej bratem – powiedział lekarz z porozumiewawczym uśmiechem. – Ale mniejsza z tym. Jest pan tutaj. Dobrze, żeby ktoś tu był. A tylko pan chciał ze mną rozmawiać.

William odpowiadał na pytania. Najlepiej, jak potrafił. Tak, jest jedyną osobą, z którą mogą porozmawiać. Laure straciła męża, straciła rodziców i nie miała dzieci – tylko siostrę, która mieszka daleko, w Moskwie, i która kontaktuje się z nią raz, dwa razy do roku.

– Ma za to przyjaciół – powiedział, próbując załagodzić przykre wrażenie.

– W tym pana – uciął lekarz. – Widocznie jest pan jej najlepszym przyjacielem, bo tylko pan tu jest – dodał. – Musi pan do niej mówić, kiedy pan przychodzi. To bardzo ważne, ludzie w śpiączce słyszą.

– Mówię do niej.

– To bardzo dobrze – pochwalił go lekarz. – W porządku, przejdę do rzeczy. To płytką śpiączką, wywołaną uderzeniem w głowę i krwiakiem w mózgu, który powstał w nocy w następstwie uderzenia. To się czasem zdarza po wypadkach drogowych. Człowiek wraca do domu tylko trochę ogłuszony, a godzinę później następuje zapaść. W tej chwili wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Nie obserwujemy żadnych niepokojących objawów. Myślę, że w ciągu czterech dni powinna się obudzić. To był napad – powiedział, spojrzawszy na leżącą na biurku karteczkę.

– Ukradziono jej torebkę. Przypuszczam, że się broniała – odpowiedział William.

Lekarz pokiwał głową i westchnął:

– Wszystko to z powodu kilku euro, a widziałem jeszcze bardziej bezsensowne historie – mruknął.

Przez następne pół godziny William odpowiadał na pytania: czy Laure miała jakieś operacje? Czy leczyła się na jakąś przewlekłą chorobę? Doznała w przeszłości jakichś urazów? Była od czegoś uzależniona, alkohol, narkotyki? Powinien też, jeśli to możliwe, dostarczyć jej numer ubezpieczenia i inne dane wymagane ze względów administracyjnych.

William potwierdził: tak, zajmie się tym – pracownia na pewno dysponuje niezbędnymi dokumentami.

– Zawód? – spytał lekarz.

– Pozłotniczka – odpowiedział William.

Baulieu podniósł na niego wzrok.

– Pokrywanie płatkami złota drewna, metalu, gipsu – sprecyzował William. – Jak na kopule Kościoła

Inwalidów.

– Rozumiem, że pracujecie razem?

– Zgadza się – mruknął William.

– To piękny zawód. Ile płatków złota potrzeba na kopułę Kościoła Inwalidów? – spytał lekarz, nie podnosząc wzroku znad notatek.

– Pięćset pięćdziesiąt pięć tysięcy.

William rozejrzał się po pokoju. Jak w każdym gabinecie lekarskim było tu trochę osobistych drobiazgow. Zawsze zadawał sobie pytanie, dlaczego lekarz akurat je wybrał, by codziennie towarzyszyły mu w pracy. Rzeczy często neutralne, o mgliście artystycznych konotacjach: przyciski do papieru, figurki, stare kałamarze, a nawet móździerze. Wpatrzył się w stojącą na biurku głowę z białego marmuru.

– Cykladzka głowa na pana biurku...

– Tak? – zapytał lekarz, nie podnosząc głowy znad papierów.

– Ma jakiś związek z pana profesją?

– A jak pan sądzi? – powiedział łagodnie lekarz.

– Nie ma oczu, bo pana pacjenci nie widzą, nie ma ust, bo nie mówią, tylko nos, do oddychania.

Lekarz podniósł wzrok, spojrzał na niego, a potem pieszczotliwie przeciągnął ręką po marmurze.

– Cztery tysiące lat milczenia – mruknął. – Zwrócimy panu przyjaciółkę, proszę się za bardzo nie martwić. I niech pan trochę odpocznie, wygląda pan na wykończonego – dodał, odprowadzając go do drzwi.

Chrupki dla Belphégora, a dla niego kieliszek czerwonego martini. W milczeniu krzątał się po kuchni. Następnego dnia rano wybierał się do Berlina i nadal nie znalazł nikogo, kto mógłby go zastąpić przy kocie. Nikogo, komu by ufał na tyle, żeby mu zostawić klucze, a tym bardziej żeby poprosić o opiekę nad zwierzęciem. Nikt z jego kolegów nie zadałby sobie tyle trudu, żeby przemierzać cały Paryż tylko po to, by nakarmić kota. Rozstawił po prostu kilka pełnych misek w różnych miejscach. Pod jego nieobecność Belphégor będzie się musiał tym zadowolić. Laure mówiła mu wprawdzie, że nie wolno tak robić, bo kot zje wszystko od razu i zwymiotuje. Ale tym razem nie miał wyboru. Opróżnił jeszcze jeden kieliszek martini, ustawił kilka misek na kuchennym blacie i właśnie miał nasypać do nich karmy – Belphégor cały czas obserwował go z zaciekawieniem – kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Ciemne włosy. Dżinsy i czarne mokasyny. Biała koszula. Mężczyzna w ciemnym płaszczu i niebieskim szaliku patrzył na niego zaskoczony.

– Dzień dobry... – powiedział William.

– Dzień dobry... – odpowiedział Laurent. Na chwilę zapadła cisza, a potem dodał ostrożnie: – Przyszedłem do Laure... Laure Valadier.

Kot wyszedł na klatkę i otarł się o jego nogi. Laurent się pochylił:

– Cześć, Belphégor – powiedział z uśmiechem i pogłaskał go.

Kot odwrócił się miękko, muskając go ogonem.

– Jest pan przyjacielem Laure?

Laurent spojrzał na Williama.

– Niezupełnie przyjacielem. Jakby to powiedzieć... – Zawahał się. Był zakłopotany. Miał właśnie zacząć wyjaśniać, kiedy William mu przerwał:

– Rozumiem. Nie musi mi pan nic tłumaczyć. Chyba wiem, kim pan jest. Mówiła, że pojawił się ktoś w jej życiu... Niech pan wejdzie. Skoro zna pan kota, na pewno już pan tu był. William, przyjaciel Laure. Pracujemy razem.

– Laurent.

Uścisnęli sobie dłonie.

Spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, że otworzy mu ekscentrycznie ubrany, ufarbowany na blond młody mężczyzna. Odkąd poznał jej nazwisko, wiele razy dzwonił do jej domu. Figurowała w książce telefonicznej i wystarczyło kilka kliknięć w internecie, żeby zdobyć adres jedynej Laure Valadier w mieście. Rzeczywiście mieszkała o kilka przecznic od miejsca, gdzie znalazł torebkę. Kiedy wybierał numer po raz pierwszy, rozważał różne scenariusze: że odbierze Laure, że odbierze mężczyzna – na przykład jej mąż – że linia będzie zajęta, że odbierze dziecko, że włączy się automatyczna sekretarka, w której usłyszy jej głos, że włączy się automatyczna sekretarka z nagrany komunikat operatora. Urzeczywistnił się ostatni. Nie zostawił wiadomości. Przez kilka dni ponawiał próby, bez powodzenia.

Fałszywie pogodny głos automatu wciąż mu powtarzał, żeby po sygnale zostawił wiadomość i zatwierdził ją krzyżykiem. Nikt nigdy nie odebrał. Napisał więc piękny list. Zabrał się do niego po zamknięciu księgarni, uświadamiając sobie przy okazji, że bardzo dawno nie pisał listu. Po napisaniu trzech stron, na których relacjonował w szczegółach, jak znalazł torebkę, przepraszał, że ją otworzył, żeby przejrzeć zawartość, przedstawiał koleje swojego śledztwa aż do rozwiązania zagadki zawieszki przy kluczach przez francuskiego pisarza goszczącego w jego księgarni, poczuł się autentycznie wyczerpany. Pisać, czytać to, co się napisało, poprawiać, dobierać każde słowo, każdy zwrot, skreślać, cofać się do początku, zmieniać czasowniki, zmieniać przymiotniki, żeby wreszcie wyszły trzy zadowalające strony – wszystko to wymagało tak nieprawdopodobnego skupienia, że nabrał jeszcze większego szacunku do pisarzy.

Hausmannowska sześciopiętrowa kamienica z tradycyjną fasadą z kremowej cegły zwieńczona dachem z blachy cynkowej. Ciężkie szklane drzwi z żelaznymi okuciami sforsował dzięki chipowi dołączonemu do pęku kluczy. Zamierzał wejść na klatkę i wrzucić kopertę do właściwej skrzynki na listy. Przejrzał nazwiska właścicieli i lokatorów na skrzynkach ze szcztokowanej stali. Prawdopodobnie wisiały tam od lat siedemdziesiątych. Larnier Jean-Pierre – parter po prawej, Françon Marc i Eugénie – drugie piętro po lewej (prosimy nie wrzucać reklam), C. Bonniot – trzecie piętro po prawej, Dirkina Communication – drugie piętro po prawej, gabinet dentystyczny – pierwsze piętro po lewej, Lecharnier-Kaplan – czwarte piętro po prawej, Laure Valadier – piąte piętro po lewej.

Już miał wsunąć kopertę, ale się zawahał. Więc przebył całą tę drogę i zrobił to wszystko tylko po to? W holu rozchodził się zapach *pot-au-feu*. O tej godzinie wszyscy albo prawie wszyscy wrócili już z pracy do domów. Zza drzwi mieszkania na parterze słychać było telewizor – rozpoznał jedną ze stacji informacyjnych nadających wiadomości na okrągło. Z pierwszego piętra, zza cienkiej ścianki działowej, dobiegł śmiech. To głupie. Naprawdę zamierza po prostu sobie pójść i czekać, aż któregoś dnia zadzwoni telefon? Laure mogła być w domu, pięć pięter wyżej. Ciemne włosy do ramion, jasna cera, jasne, może szare oczy, pieprzyk po prawej stronie nad górną wargą. Był zbyt blisko celu, żeby teraz odejść. Włożył kopertę z powrotem do kieszeni płaszcza i nacisnął przycisk przy windzie. Zjechała, trzeszcząc – zabytkowa winda. Są jeszcze takie w najstarszych kamienicach Paryża. Wąskie, dwuskrzydłowe drewniane drzwi i tablica z przyciskami, która musiała pamiętać lata trzydzieste. Wcisnął czarny bakelitowy guzik z numerem pięć. Kabina wydała charakterystyczny trzask i zawiozła go w górę, poskrzypując na linach. Drzwi po lewej ledwie było widać w słabym świetle lampy. Żadnej tabliczki z nazwiskiem, tylko mały posrebrzany przycisk dzwonka. W każdym razie wreszcie tam był. Zadzwonił i Laure otworzy drzwi. Przyglądał ręką włosy, odkaszlnął cicho i zadzwonił.

Otworzył mu William.

– Dzwoniłem kilka razy, ale nikt nie odbierał, więc przyszedłem zostawić kilka słów – powiedział, wyciągając list z kieszeni.

William spojrzał na niego.

– Więc nic pan nie wie. Oczywiście, nie może pan wiedzieć – powiedział William, krzywiąc się.

– Coś się stało? – szepnął Laurent.

– Niech pan zdejmie płaszcz i usiądzie. Mogę panu zaproponować coś do picia? Whisky, wódka, sok pomarańczowy, czerwone martini?

– Niech będzie martini – powiedział Laurent.

– Świetnie, zaraz wracam.

William zniknął w korytarzyku. Laurent powiesił płaszcz na wieszaku przy wejściu. Hol było słabo oświetlony. Na ścianie wisiała seria olejnych pejzaży. Mały format, dziewiętnasty wiek, wiejskie scenki, jeziora i lasy. Łączył je brak ludzkich postaci. Tylko krajobrazy – natura i bijąca z niej cisza. Nad obrazami zauważył ramkę z jednym z tych błękitnych połyskliwych motyli, których nazwa zawsze wypadła mu z głowy. Niżej – stolik na jednej nodze, a na nim misę z tuzinem starych połączonych kluczy. Wziął jeden do ręki – przypominał zwykłe stare klucze do starych bram, z tą różnicą, że był połączony. Pomyślał o Sinobrodym i o złotym kluczu otwierającym drzwi do pokoju zaginionych kobiet. Usłyszał kroki Williama w korytarzu i odłożył klucz na miejsce.

– Bardzo proszę. Wrzuciłem dwie kostki lodu, może być?

Usiedli w salonie. Laurent na kanapie, William naprzeciwko, w fotelu.

– Laure czuje się dobrze – zaczął i od razu się poprawił: – no cóż, to znaczy... mogło być gorzej. Kiedy ostatnio ją pan widział?

Laurent zrobił minę, jakby się zastanawiał.

– Dobrze, mniejsza z tym – uciął William. – W nocy dwunastego stycznia coś się stało. Przepraszam, trochę się płaczę. Chodzi o to, że Laure została napadnięta. Ukradziono jej torebkę. Doznała urazu głowy. Na razie jest w śpiączce, ale niedługo powinna się obudzić.

– W śpiączce? – powtórzył za nim Laurent.

– Tak. Jeszcze się nie obudziła, ale to kwestia kilku dni. Wczoraj widziałem się z lekarzem, jest dobrej myśli.

– Więc to dlatego nikt nie odbierał telefonu...

– Tak, a jej komórka oczywiście zniknęła, razem z portfelem i kartą do bankomatu, z której złodziej zresztą skorzystał. Na jej koncie brakuje dwóch tysięcy euro. Dowiedziałem się tego wczoraj, zadzwoniłem do banku. Ale to powinno pokryć ubezpieczenie. A zresztą nie to jest najważniejsze.

– Tak, nie to jest najważniejsze – mruknął Laurent.

– Ważne, żeby się obudziła – ciągnął William. – Zaraz podam panu adres szpitala.

– Nie wiem, czy mnie do niej wpuszczają, nie należę do rodziny – powiedział Laurent.

– Ja też nie – odparł William, wzruszając ramionami. – Zresztą nie bardzo wiem, kto z rodziny miałby przyjść. Siostra mieszka w Moskwie, rodzice nie żyją, męża też już nie ma.

– Tak, ma pan rację – powiedział Laurent. – Męża już nie ma.

– Powiedziała panu?

– Tak – skłamał.

William pokiwał głową i wypił łyk martini.

– Długo się po tym zbierała.

Laurent milczał.

– Poznaliście się niedawno? – ciągnął William.

– Tak, niedawno... – Laurent błędził wzrokiem po salonie: zdjęcia, książki, kominek z gotowymi do podpalenia szczapami, wenecki żyrandol, nowoczesna lampa stojąca, wielkie lustro w rzeźbionej pozłacanej ramie.

– Gdzie? Nie chciałbym być wścibski...

– W mojej księgarni, jestem księgarzem.

– To do niej podobne – powiedział William z uśmiechem. – Kilka tygodni temu spotkała na ulicy znanego pisarza. Miała w torebce jego powieść i poprosiła go o dedykację. Musiała panu o tym opowiadać.

– Tak, Modiano, niedaleko Odéonu. Padało.

– Właśnie. Kończyliśmy wtedy prace w Senacie. Wygląda pan na porządnego faceta, cieszę się – powiedział William po chwili milczenia.

Laurent wstał.

– Przepraszam, muszę rozprostować nogi.

– Ależ proszę – powiedział William.

Laurent podszedł do dużego zdjęcia w ramce. William i Laure stali na najwyższym punkcie dachu paryskiej opery, w kombinezonach roboczych, jedno po jednej stronie unoszącego złotą lirę Apolla, drugie po drugiej. Oboje wskazywali palcami na instrument i uśmiechali się do obiektywu.

W końcu zobaczył jej twarz. Włosy plątały jej się na wietrze, a oczy wyglądały na jasne. Rzeczywiście miała pieprzyk po prawej stronie nad górną wargą, a na szyi łańcuszek z zawieszka z hieroglifami. Miała szczupłe ręce, na jednej nosiła błękitną bransoletkę. Wreszcie mgła się rozproszyła, rysy zrobiły się wyraźne. Jej twarz była inna niż ta, którą sobie wyobrażał, a jednak podobna.

– Ja też mam w domu to zdjęcie. To było kilka lat temu – powiedział William. – Każde z nas zrobiło połowę liry Apolla.

Na sąsiednim zdjęciu, mniejszym, zobaczył Laure i pięć innych osób. Wszyscy stali na dachu Wersalu, każdy dzierżył w ręku jakieś narzędzie. Laure miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Wokół nich kolejne pozłacane rzeźby. Zaczynał rozumieć: klucze, rzeźby, prace w Senacie, o których wspominał

William. I jeden punkt wspólny: złoto.

– Już nie nosi tego wisiorka z hieroglifami – zauważył Laurent.

– Przyczepiła go do kluczy – powiedział William i wypił łyk martini. – To był prezent od naszego pracodawcy z Egiptu. Każdy dostał swoje imię i nazwisko wypisane hieroglifami. Mój gdzieś się zawieruszył. Zjechaliśmy razem kawał świata. To ona mnie wszystkiego nauczyła. Laure to najlepsza pozłotniczka świata! 66 114

– Laure – szepnął Laurent. Dopiero teraz do niego dotarło, że jej imię brzmi jak *l'or* – złoto.

– Dosyć niezręcznie mi o to prosić – powiedział William – ale tak naprawdę z nieba mi pan spadł. Muszę pojechać na trzy dni do Berlina, sprawy zawodowe. Mógłby się pan w tym czasie zająć Belphégorem?

Szukać właścicielki torebki, żeby jej oddać zbugę, to jedno, ale siedzieć u niej pod jej nieobecność, z jej kotem na kolanach, to zupełnie co innego. Następnego wieczoru otworzył drzwi zapasowym kluczem, który dał mu William – zupełnie zresztą niepotrzebnie, miał przecież klucze Laure. Wszedł do kuchni, nasypał kotu chrupkę do miski i nalał sobie szklaneczkę jacka daniel'sa. Alkohol go rozgrzał, wsączył mu się w żyły i rozluźnił wszystkie mięśnie. Poszedł do salonu i zaczął się rozglądać. Czuł się w tym mieszkaniu jak pasażer na gapę – albo raczej jakby tak naprawdę go tam nie było. Są takie miejsca jak to – zupełnie wyjątkowe. Człowiek ma w nich wrażenie, że to tylko jego umysł zawędrował tam w marzeniach – że to sen, z którego zaraz się obudzi. Czuł się tak, jakby istniał drugi Laurent, i jakby ten drugi siedział właśnie w jego mieszkaniu nad księgarnią i robił za niego wszystko, co zwykle robił on: odpowiadał na maile, gotował kolację, zaczynał czytać nową powieść.

Mieszkanie Laure było jak przytulny kokon: głęboka kanapa w salonie, przykryty dywanem parkiet i starannie rozmieszczone oświetlenie. Pod oknem stał fikus, jego gałązki sięgały aż do kominka. Belphégor zaakceptował nowego opiekuna – zjadł karmę o smaku kaczkę i bezceremonialnie ułożył mu się na kolanach. Unieruchomił go na kanapie. Laurent wiedział, że kot zrobił mu zaszczyt. Putin jego córki nigdy nie kładł się nikomu na kolanach. W najlepszym wypadku sadowił się obok i wpatrywał w człowieka przenikliwym spojrzeniem, które przywodziło na myśl jego imiennika z Kremla.

Zanim kot dał mu świadectwo tego niezrozumiałego zaufania, Laurent rozejrzał się po salonie. Wrażenie, że czyta list, który nie jest adresowany do niego, jak to ujął de Guity, było jeszcze silniejsze niż wtedy, kiedy otwierał torebkę.

Właściwie całe to mieszkanie było czymś w rodzaju gigantycznej torebki z tysiącem zakamarków, z których każdy krył kawałek życia jego lokatorki. Ze szklaneczką burbona w ręku przechadzał się od jednej rzeczy do drugiej, od obrazu do zdjęcia. Jedną ścianę w całości zajmował regał z książkami. Wiele z nich było poświęconych sztuce – sporo nowych i jeszcze więcej starych. Musiała je gromadzić wiele lat. Architektura, malarstwo – oczywiście pozłotnictwo – a także katalogi z aukcji sztuki. Jedną półkę zapełniały książki Sophie Calle. Wśród nich jedno z jej poetyckich arcydzieł: *Suita wenecka*. W 1980 roku, w celach czysto artystycznych, Sophie Calle postanowiła śledzić przypadkowych mężczyzn na ulicy – oczywiście bez ich wiedzy. Jak prywatny detektyw przynosiła z tych długich wypraw czarno-białe zdjęcia tych ludzi, ich pleców, zrobione w najróżniejszych miejscach. Nieznajomi, za którymi chodziła całymi popołudniami. Pewnego dnia upatrzyła sobie kolejną zdobycz, ale facet jej umknął. Zniknął w tłumie. Traf chciał, że jeszcze tego samego wieczoru spotkała go znowu – na kolacji zorganizowanej przez wspólnych przyjaciół. Powiedział jej, że niedługo wybiera się do Wenecji. Postanowiła znów go śledzić. Ruszyła za nim incognito aż do uliczek i kanałów włoskiego miasta. Przywiozła z tej wyprawy dziennik pokładowy: sto pięć czarno-białych zdjęć i siedemdziesiąt dziewięć stron, do których posłowie napisał Jean Baudrillard. Przerwała śledztwo dopiero, kiedy pewnego dnia

mężczyzna odwrócił się na ulicy, rozpoznał ją i odezwał się do niej. Właściwie nie dokładnie wtedy, bo jeszcze podróż powrotną zaplanowała tak, żeby się znaleźć na paryskim dworcu kilka minut przed nim i zrobić mu ostatnie zdjęcie. Ale napięcie i magia rozwiały się, kiedy się spotkali. Powrót do rzeczywistości oznaczał koniec tej historii.

Laure miała oryginalne wydanie – bardzo trudne do zdobycia i bardzo drogie. Na kolejnej półce stały powieści. Znalazł wiele książek Modiano, niektóre w miękkich oprawkach, niektóre w wydaniach kieszonkowych. Zdjął kilka i otworzył, żeby sprawdzić, czy nie ma w nich dedykacji. Na półce stało też dużo kryminałów – angielskich, szwedzkich i islandzkich. Powieści Amélie Nothomb, kilka tomów Stendhala, dwie książki Houellebecq’a, trzy Echenoza, dwie Chardonne’a, cztery Stefana Zweiga, pięć Marcela Aymégo, cały Apollinaire, *Nadja* Bretona w starym wydaniu, kilka książek Le Clézio, tuzin Simenonów, trzy powieści Murakamiego i komiksy Jiro Taniguchiego. Układ był całkowicie przypadkowy. *Poezje* Jeana Cocteau sąsiadowały z *Sagą* Tonina Benacquisty, która z kolei stała obok *Łazienki* Jeana-Philippe’a Toussainta, a ta ostatnia – obok dużego woluminu w grubej okładce oprawionego w brązową skórę ze złotymi zdobieniami. Zdjął go z półki.

Był to album na zdjęcia, z grubymi kartkami i połączanym grzbietem. Musiał mieć ze sto lat. Pierwsze fotografie zrobiono w latach dwudziestych. Przedstawiały mężczyzn z wytwornymi wąsami i kobiety w sukniach i z fryzurami z epoki. Pod zdjęciami ktoś napisał ołówkiem: wujek Edgar, ciocia Florence, spotkanie rodzinne – Boże Narodzenie 1937. Kolejne strony przenosiły go coraz dalej w dwudziesty wiek. Na zdjęciu z lat siedemdziesiątych mała dziewczynka z jasnymi oczami wpatrywała się w obiektyw. W ręce trzymała pluszową maskotkę, a u jej stóp siedział zapatrzony w nią młody kot syjamski. Miała pieprzyk nad górną wargą. *Laure z Sarbacane’em i Liskiem*. Laure z rodzicami, Laure jako nastolatka, Laure na wakacjach z siostrą Bénédicte – Laurent nie czuł się uprawniony do wertowania albumu, ale pragnienie oglądania jej znajomej już twarzy na kolejnych zdjęciach było silniejsze od niego. Już miał zamknąć twardą okładkę, kiedy spojrzał na ostatnią stronę. Dalej nic już nie było, wszystko kończyło się w 2007 roku artykułem wyciętym z gazety. Zdjęcie ilustrujące notkę przedstawiało uśmiechniętego mężczyznę z krótkimi włosami. Stał obok afgańskiego przywódcy Massouda. „Xavier Valadier (1962–2007), nasz współpracownik i przyjaciel, reporter wojenny, zginął w Iraku 7 grudnia. Zdjęcia Xaviera Valadiera często obiegały cały świat...”. Tekst kończył się zdaniem: „Xavier, nigdy Cię nie zapomnimy. Myślami jesteśmy przy Tobie i Twoich bliskich”. To o nim mówił William – i to jego Laurent widział na zdjęciu, które znalazł w torebce. Odstawił album na miejsce i poszedł do sąsiedniego pokoju.

Gabinet był pogrążony w mroku. Nacisnął włącznik. Neonówka nad regałem zabrzęczała, a potem się uspokoiła. Kolejne regały, pełne płyt DVD, a nawet starych kaset wideo. Duży płaski ekran stojący na podłodze, na kominku odtwarzacz CD, a na nim adapter. Na parkiecie leżały w stosach długogrające winyle i płyty CD. Również bez ładu. Muzyka klasyczna mieszała się z rockiem i popem. David Bowie sąsiadował z Rubinsteinem, pod Radiohead i Devendrą Banhartem leżeli Glenn Gould i Perlman. Na

wielkim lustrze nad kominkiem zauważył kartki pocztowe z całego świata, powtykane między połączoną oprawę a szkło. Oparł się pokusie, nie wyjął ich i nie przeczytał tego, co było na odwrocie. Na biurku komputer i klawiatura, porozrzucane długopisy i kołonośnik. Kolekcja kości do gry – było ich ze dwadzieścia – wszystkie szóstką do góry.

– Rzut kośćmi nigdy nie zniesie przypadku – mruknął do siebie.

Miękki cień otarł mu się o nogi. Kot. Wskoczył na czarny skórzany fotel stojący przy biurku, a stamtąd na blat, zbliżył nos do jego twarzy i nachylił się nad rzędem kostek. Zepchnął dwie łapą na podłogę, spojrzał na Laurenta, i zrobił to samo z jeszcze dwiema.

– Nie, przestań, stop! – krzyknął Laurent i ukląkł, żeby pozbierać kostki. Ale jak tylko ułożył je z powrotem na biurku, kot znów je zrzucił. I tak w kółko. – O nie, tak się nie będziemy bawić. – Westchnął, wziął kota na rękę, wyszedł, zamknął za sobą drzwi i postawił zwierzaka na podłodze.

Kot ruszył do sypialni swojej pani. Przystawał po drodze i zerkał na Laurenta, jakby go zachęcał, żeby poszedł za nim. Biały pokój kontrastował z resztą mieszkania. Słabe rozproszone światło upodabniało go do igloo. Stara szafa, zdjęcie czerwonego nieba w ramce. Na kaloryferze leżała pluszowa maskotka, mocno zużyta – bez wątplenia Lisek ze zdjęcia. Kot wskoczył na narzutę, demonstrując, że to również jego łóżko i że ma prawo zwijać się na nim w kłębek, kiedy tylko przyjdzie mu ochota. Zwiedzili razem łazienkę. Ściany były wyłożone małymi czarno-białymi kafelkami. Na półkach piętrzyły się dziesiątki flakoników, tubek, kremów i szamponów. Laurent wziął do ręki Magiczny Peeling w Sprayu: „nieziarnisty mikropeeling nowej generacji o działaniu biologicznym – odnowi strukturę Twojej skóry w dwadzieścia sekund”. Odstawił go i rozpylił odrobinę Habanity z czarnego flakonu. Wodził wzrokiem po tym intymnym wszechświecie, kiedy nagle zadzwonił jego telefon. Wystraszony kot pogalopował do salonu.

– Twoja córka twierdzi, że wrzucasz do *pot-au-feu* cebulę nabitą pięcioma goździkami, a moim zdaniem wystarczą trzy. I Bertrand się ze mną zgadza. Nie muszę dodawać, że w tej chwili to paląca kwestia – dodała Claire obrażonym tonem. – Więc czy mógłbyś porozmawiać z Chloé i potwierdzić, ile ma być goździków?

– Daj mi ją – odpowiedział spokojnie. – Chloé? Potrzebne są cztery goździki.

– Miałam rację, pięć! – zapiszczała Chloé.

– Chloé, przecież powiedziałem cztery – poprawił ją.

– Czy ja zawsze muszę mieć rację? – mruknęła.

Laurent zamknął oczy i westchnął.

– Chloé... Jestem u Laure.

– Poczekaj, wyjdę z kuchni, znowu się kłóć. Jesteś z nią?

– Nie, później ci wytłumaczę, karmię jej kota.

– Więc ją znalazłeś?

– Niezupełnie.

– Jak się nazywa?

– Valadier, Laure Valadier.

– Jest ładna?

– Widziałem ją tylko na zdjęciu. Jest pozłotniczką.

– Co to znaczy? Kto to jest pozłotniczka?

– Pozłaca ramy, pomniki, nakleja na nie płatki złota.

– Obłędnie! – Chloé była podekscytowana. – Czekał, wołają mnie, muszę lecieć. Opowiesz mi

wszystko w czwartek na naszej kolacji. – Rozłączyła się.

Laurent wrócił do domu. Jeszcze nigdy nie wydawał mu się taki pusty i cichy.

Następnego wieczoru znów nalał sobie szklaneczkę Jacka Daniel'sa, a potem rozpałił ogień w kominku. Zadzwoił William – tak jak się umówili, o godzinie kota, pod domowy numer. Zapytał, czy odwiedził Laure w szpitalu, i Laurent powiedział, że tak. Znów kłamał. Potem usiadł na kanapie. Kot wskoczył mu na kolana i nawet zaczął mruzczyć, kiedy go pogłaskał. Pomyślał, że nie może dalej tak być, że już dawno przekroczył żółtą linię. Przechodząc od pięknego obywatelskiego gestu, jak to określił policjant, do wygrzewania się w ciepłe kominka Laure, pogwałcił jej prywatność. Jego nieporadne śledztwo potoczyło się jak sen i kiedy to wszystko się skończy – co z pewnością nastąpi – będzie się zastanawiał, czy naprawdę przeżył tych kilka dni. Ale na razie czuł się w tym obcym domu, w miękkim świetle lamp, bezpiecznie i nie miał najmniejszej ochoty wracać do siebie. Pomyślał, że nie czuł się taki spokojny od wielu lat. Czas płynął wolniej, w rytm trzaskania ognia w kominku. Zanim zasnął, był już głęboko przekonany, że mógłby spędzić na tej kanapie resztę swoich dni, z czarnym kotem na kolanach, czekając, aż nieznajoma wróci i go obudzi.

Znów znalazł się na tarasie jednego z wieżowców La Défense. Nieprzyjemny sen. Wracał do niego co dwa, trzy lata. Sen, który nie do końca był snem. W końcu ten taras z pewnością jeszcze istniał. Ale to było w innym życiu. W życiu, w którym był Laurentem Letellierem – doradcą finansowym. W życiu, które skończyło się na trzydziestym czwartym piętrze wieżowca w dzielnicy biznesowej pewnego letniego popołudnia pod koniec dwudziestego wieku. Po długiej naradzie wszyscy pili kawę na nasłonecznionym tarasie. Jego koledzy zdjęli marynarki i poluzowali krawaty, niektórzy pozakładali nawet okulary słoneczne. Zostawił ich i podszedł do stalowej barierki. Kontemplował sylwetki na dziedzińcu i wyprzedzające je, ogromne o tej porze cienie. Niektórzy szli powoli, inni pędzili jak zaaferowane mrówki – z pewnością na spotkania, na które nie powinni się spóźnić nawet dwie minuty. Już takie spóźnienie byłoby źle widziane. Dotyk rozpalonego powietrza na skórze, błyszczące w słońcu wieżowce, strzeliste jak wyrosłe z ziemi gigantyczne kryształki kwarcu. Pochylił się nad stu czterdziestoma metrami pustki. Pomyślał, że trwałoby to załedwie kilka sekund. Jego koledzy byłiby w szoku, niektórzy upuściliby porcelanowe filiżanki, inni bezgłośnie otworzyli usta. Zostawiłby dziewczynę, którą właśnie poznał, Claire – miałaby szansę na życie z kimś innym, lepszym. Wiele lat później ze smutkiem wspominałaby znajomość z młodym mężczyzną, który tak nagle odebrał sobie życie i nie zostawił nawet listu pożegnalnego.

Życie poświęcone w całości czytaniu w pełni by go zadowoliło, a jednak nie było mu dane. Trzeba było wcześniej wybrać drogę, wiedzieć, co się chce robić, zaraz po maturze. Mieć plan na życie. Dał się namówić na studia prawnicze, które doprowadziły go do pracy w banku.

Z początku to nawet interesujące – dobrze się zapowiadać, wspinać się po szczeblach kariery, mieć odpowiedzialne zadania i świetnie zarabiać. Do czasu. Najpierw człowiek czuje się zagubiony, potem stopniowo widzi coraz wyraźniej, że ten, w kogo się zmienia, jest dokładnym przeciwieństwem tego, kim

jest naprawdę. Ten wewnętrzny konflikt ciąży – z początku wysokie zarobki są jakąś rekompensatą, potem to już nie wystarcza. Przepaść między ja realnym i ja idealnym jest za duża. Do ciężaru dołącza niepokój, do niepokoju – nieznośna myśl, że marnujemy sobie życie – jeśli już tego nie zrobiliśmy.

Odsunął się od barierki i wrócił do kolegów. Przyglądał im się, świadom, że właśnie stało się coś bardzo ważnego: zupełnie na chłodno rozważał, czy nie skoczyć z wieżowca La Défense. Tego samego wieczoru oświadczył Claire: „Zamierzam zmienić zawód”. Nie wspomniał o dziwnym impulsie, który poczuł, kiedy patrzył w dół, w pustkę. „Otworzę księgarnię”. Długo rozmawiali, Claire prosiła, żeby to dobrze przemyślał. Potem już nic nie mówiła. Wynegocjował korzystną odprawę. Claire dostała awans: wyrzuciła słówko zastępca sprzed tytułu dyrektorki marketingu znanej firmy produkującej mrożonki. On odkupił od właściciela kawiarni Celt prawo do dzierżawy lokalu. W tym samym tygodniu Claire powiedziała mu, że jest w ciąży. Zaczęli nowe życie.

Sen skończył się tak jak zawsze: wspiął się na barierkę i zaczął spadać. I wtedy się obudził. Przestraszony kot zeskoczył z jego kolan. Dzwonił telefon. Wstał i poszedł do gabinetu. Włączyła się automatyczna sekretarka. Na wyświetlaczu zaczęła migać malutka koperta. Po chwili wahania wcisnął przycisk. Włączył się głośnik. „Masz nową wiadomość. Dwudziesta czterdzieści sześć: «Cześć, Laure... Tu Franck, nie odzywasz się, nie odbierasz telefonu, cóż... Wiem, że ostatnio wyszło trochę niezręcznie, ale... Zresztą jak chcesz. To moja ostatnia wiadomość... Jeśli się nie odezwiesz, więcej nie zadzwonię». Żeby odsłuchać jeszcze raz, wybierz jeden, żeby zachować, wybierz dwa, żeby skasować, wybierz trzy”.

Spojrzał na wyświetlacz i wcisnął trójkę. „Wiadomość została skasowana. Nie masz żadnych wiadomości. Żeby przejść do menu głównego, wybierz dziewięć”.

– Hélène... Hélène, popatrz... Krzywa rośnie – powiedział kobiecy głos.

– Zostanę z nią, a ty wezwij doktora Baulieu – odpowiedział inny kobiecy głos. – Powiedz mi, że mamy sygnały aktywności w lewej ręce.

Mrowienie. Najpierw nieokreślone, potem umiejscowione. W czubkach palców dłoni i stóp. Świadomość ciała wracała coraz wyraźniej. Słyszała uderzenia krwi w skroniach. Falujący, miękki wszechświat, w którym przebywała, zawęził się do jednego pokoju. Chociaż wszystko jeszcze było czarne, miała świadomość, że jest w przestrzeni ograniczonej ścianami i sufitem. Jej umysł krążył po niej swobodnie, a ciało leżało w jakimś spokojnym, nieokreślonym miejscu. Otworzyła oczy. Obraz był niewyraźny, zbyt jasny i zamglony, jakby patrzyła przez obiektyw aparatu, który nie łapie ostrości. Podszedł do niej cień o rozmytych zarysach, jakby oddzielała ją od niego matowa szyba.

– Dzień dobry – powiedział cień. – Zaczyna się pani budzić.

Cień przysunął się bliżej, twarz ciągle miał zamgloną, ale mogła już w niej wyróżnić oczy, nos, usta i jasne włosy. Słyszała już głos tej kobiety, we śnie.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała kobieta. – Nie ma pani żadnych fizycznych obrażeń, nie jest pani ranna. – Słowa były źle zsynchronizowane z ruchem warg, dźwięk dobiegał z sekundowym opóźnieniem. – Na pewno widzi pani niewyraźnie – powiedział jasnowłosy cień. – Niech pani nie próbuje mówić, ale proszę mrugnąć dwa razy, jeśli mnie pani słyszy i rozumie, co mówię.

Zrobiła, o co ją proszono.

– Świetnie – pochwalił ją cień. – Wychodzi pani ze śpiączki. Od tygodnia jest pani w szpitalu. Rozumie mnie pani?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć.

– Ciii... – powiedział cień, przykładając palec do ust, jakby chciał ją powstrzymać od zdradzenia jakiejś tajemnicy. – Proszę tylko mrugnąć. Niech się pani spokojnie zastanowi nad tym, co powiedziałam. Nie odniosła pani żadnych fizycznych obrażeń, nie jest pani ranna – powtórzył cień. Położył dłoń na jej dłoni. – Jestem tu z panią, nigdzie się nie wybieram. Wszystko będzie dobrze.

– Jestem pani lekarzem – powiedziała twarz o białych włosach, trochę bardziej ostra niż twarz kobiety. – Proszę nie odpowiadać. Jak już pani mówiła pielęgniarka, nic pani nie dolega. Jest pani u nas od siedmiu dni i trzech godzin. Może pani skinąć głową? Świetnie. Zadam pani teraz kilka pytań. Proszę odpowiadać skinieniem głowy. Widzi pani trochę wyraźniej niż wtedy, kiedy się pani obudziła? Dobrze. Słyszysz pani mój głos z opóźnieniem? Dobrze, to zupełnie normalne i niedługo minie. Proszę poruszyć lewą stopą. Świetnie, teraz prawą. Doskonale. Teraz palcem wskazującym prawej ręki, nie, palcem wskazującym, dziękuję. Teraz małym palcem lewej ręki, jeszcze raz, bardzo dobrze. Proszę oddychać, doskonale. A teraz niech pani spróbuje za mną powtórzyć: „Rudzik na zielonej gałęzi”. Proszę spróbować.

Powtórzyła. Głos miała zachrypnięty.

– Piękny głos – powiedział lekarz.

Skrzywiła się.

– Zadam pani teraz cztery pytania, które mogą się pani wydać dziwne. Gotowa?

Skinęła głową.

– Proszę mi podać imię maskotki albo lalki, którą szczególnie pani lubiła w dzieciństwie.

– Lisek – wymamrotała po chwili milczenia.

– Dobrze. Domyślam się, że Lisek to pluszowy lis.

Skinęła głową.

– Gdzie pani była jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku?

– W Kuwejcie... pozłacanie... pałac księcia Al-Sabaha.

Baulieu skinął głową.

– To ciekawe, takiej odpowiedzi jeszcze nie słyszałem. Jak się pani nazywa?

– Laure. Laure Valadier.

– I ostatnie pytanie: wie pani, dlaczego znalazła się pani w szpitalu?

– Moja torebka... – szepnęła.

– Nie mów za dużo – powiedział William, głaszcząc ją po ręce. – Nie powinnaś się przemęczać.

– Dziękuję, że przyszedłeś. Belphégor? – wyszeptała.

– Nie przejmuj się, ma się bardzo dobrze. Laurent się wszystkim zajął.

– Laurent... Kto to jest Laurent?

W chwili, kiedy zadawała to pytanie – na które odpowiedziało jej tylko pełne niepokoju milczenie –

Laurent popychał skrzydło bramy z kutego żelaza, która strzegła dostępu do trzech rozległych podwórek w amfiladzie. Poprzedniego wieczoru ustalili przez telefon – o godzinie kota – że rano spotkają się w pracowni, żeby sobie przekazać klucze. Laurent szukał właśnie jakiejś tabliczki z informacją o rozkładzie pracowni, kiedy jego spojrzenie przyciągnęła pojedyncza połączana kostka brukowa. Kilka metrów dalej zauważył następną, jeszcze dalej – kolejną. Jak w bajce o wróżce wystarczyło podążać śladem złotych kostek, żeby dotrzeć do trzeciego podwórza z wielką przeszkloną ścianą pracowni Gardhiera. Przed drzwiami jakaś kobieta z kręconymi włosami i w małych złotych okularach paliła papierosa. Miała na sobie czarne dżinsy, na nogach białe buty Repetto. Podeszedł do niej.

– Dzień dobry – powiedział.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytała.

– Tak, jestem umówiony z Williamem.

– Przykro mi, wyszedł – powiedziała, wydmuchując pod słońce dym z papierosa.

– Ach – powiedział, zbity z tropu. – Miałem mu oddać klucze do mieszkania Laure.

– Laure Valadier? Jest pan przyjacielem Laure?

– Tak, dokarmałem jej kota.

– William poszedł do niej do szpitala. Zadzwonili po niego, właśnie się obudziła.

– Jak się czuje? – spytał.

– Chyba dobrze, ale William nie mówił nic konkretnego. Wyszedł w pośpiechu. Był trochę zdenerwowany, zresztą zna go pan, taki już jest... – dodała z porozumiewawczym uśmiechem.

– To dobrze, świetnie – wymamrotał Laurent. – Wszystko jest dobrze – dodał półgłosem, jakby do siebie, a potem też się uśmiechnął. – Mogę mieć do pani prośbę? – powiedział, wyciągając z kieszeni klucze. – Mogłaby mu to pani oddać?

– Oczywiście – powiedziała, gasząc papierosa.

Podał jej klucze, pożegnał się i ruszył z powrotem przez trzy podwórka, śladem połączanych kostek. Wiedział, co musi zrobić: położyć kres tym trzem dniom poza czasem i fantazjom o kobiecie, której miał nigdy nie spotkać. Jak niby miałyby się pogodzić z tym, że nieznajomy wdarł się do jej domu i karmił jej kota, podając się za jej kochanka? Trudno by mu było to wytłumaczyć, gdyby ktoś nagle zażądał wyjaśnień. Dlaczego zależało panu na tym, żeby osobiście oddać torebkę nieznajomej kobiecie? Dlaczego przez dwa dni z rzędu czyhał pan w publicznym parku na znanego pisarza? Dlaczego zapłacił

pan z własnej kieszeni za sukienkę w pralni Afrodyta? Dlaczego pan nie zaprzeczył, kiedy przyjaciel właścicielki torebki wziął pana za jej chłopaka? Miałyby na te pytania tylko jedną, zawsze tę samą odpowiedź – szczerą, ale niezbyt zadowalającą: nie wiem.

– Więc, jeśli dobrze rozumiem, otworzyłem drzwi wyimaginowanemu mężczyźnie, który przez trzy dni karmił jak najbardziej prawdziwego kota – podsumował William.

Laure i Baulieu patrzyli na niego w milczeniu.

– Widziałeś się z nim jeszcze raz? – spytała.

– Nie – odpowiedział William słabym głosem i zaśmiał się nerwowo, świadomy, że ta odpowiedź pograża go jeszcze głębiej.

– Przykro mi, William, ale nie znam żadnego Laurenta, który jest księgarzem. – Laure westchnęła.

– Dobrze, zostawmy to na razie – przerwał im Baulieu. – Zajrzę do pani po południu.

– A ja jutro rano – powiedział William. – Odpoczywaj – dodał, głaszcząc ją po ręce.

– Dowiesz się, kto to był, prawda? William? Kto przychodził do mojego domu?

– Tak, moja śliczna – powiedział, całując ją w czoło. – Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się do niego i odwróciła głowę w stronę respiratora swojego sąsiada. Dźwięk był nieznośny, cichy i powtarzalny. Może to właśnie ten odgłos wywołał obraz wodospadu w jej śnie?

William i Baulieu wyszli na korytarz.

– Nie – powiedział szorstko Baulieu, uprzedzając pytanie, które William chciał zadać.

– Ależ, panie doktorze, jeśli...

– Nie – powtórzył Baulieu.

– Nie pamięta faceta, z którym jest związana. Ma amnezję.

I znów:

– Nie, Laure nie cierpi na amnezję. Przykro mi, przeprowadziłem wszystkie konieczne badania i nie umiem tego wyjaśnić. Moim zdaniem to nie jest problem medyczny.

Zapadła cisza. Chociaż profesor Baulieu niewątpliwie był obdarzony dość szczególnym poczuciem humoru, William wyczuł, że w tej chwili nie żartuje. Odnosił się do niego wręcz chłodno. Wyglądało na to, że nie może się doczekać, żeby zakończyć tę rozmowę.

– Niech pan zadzwoni do tego człowieka i zapyta, kim jest.

– Nie znam jego numeru – wymamrotał William. – Tak naprawdę nie mam pojęcia, jak się z nim skontaktować.

Szpital dzieliło od pracowni Gardhiera siedemnaście stacji metra, z jedną przesiadką. Po drodze William rozważał rozmaite hipotezy. Skończył na tych najbardziej nieprawdopodobnych: z potencjalnego włamywacza Laurent przeistoczył się w zjawę, której naturę należało dopiero zbadać. Teorię o złoczyńcy obalił po trzech stacjach. Laurent był porządnie ubrany i nie wyglądał na kogoś, kto nosi pod płaszczem łom. Poza tym znał imię i nazwisko Laure. Nawet więcej – znał imię kota i wiedział, że Laure spotkała pisarza i poprosiła go o dedykację. Krótko mówiąc, znał Laure, a jednak ona go nie pamiętała. A Baulieu upierał się, że to nie amnezja. Tylko ja go widziałem, powtarzał sobie William.

Wszystkie zwykłe wytłumaczenia kłóciły się z logiką. W okolicach piątej stacji wpisał w iPhone słowo *flashback* i kliknął w artykuł w Wikipedii. „Termin zastosowany po raz pierwszy w 1965 roku przez Williama Froscha, psychiatrę ze Szpitala Psychiatrycznego Bellevue w Nowym Jorku, w artykule opisującym badania, które przeprowadził na swoim oddziale. Zaobserwował nawroty halucynacji u niektórych zażywających LSD nawet po kilku miesiącach od wzięcia narkotyku”. William trzy razy w życiu jadł grzyby halucynogenne. Ostatnio cztery lata temu. Spędził wtedy noc w wannie, gawędząc ze słuchawką prysznicową. Odbyli arcyburzliwą dyskusję filozoficzną, poruszali kwestie natury uniwersalnej, takie jak śmierć, życie po śmierci, wielość zamieszkanego świata i istnienie Boga. Słuchawka miała bardzo sprecyzowane poglądy na wszystkie te tematy. Następnego dnia z żalem stwierdził, że zdolności intelektualne wyposażenia jego łazienki znacząco zmalały i ograniczają się już tylko do tryskania ciepłą i zimną wodą i przełączania zwykłego strumienia na tryb masażu. Przynależał sobie solennie, że nigdy więcej nie weźmie żadnych substancji psychotropowych. Ale nigdy, ani razu, nie zdarzyło się, żeby zmaterializował mu się człowiek. A w Wikipedii wspomniano o możliwych przejściowych zaburzeniach percepcji przez kilka miesięcy – a nie lat – po spożyciu narkotyku. Wszystko to zupełnie się nie kleiło.

Kiedy szedł podziemnym korytarzem, żeby się przesiąść do innej linii, zaczął, powściągliwie, ale nie bez pewnej przyjemności, zastanawiać się, czy aby nie miał do czynienia ze zjawiskiem paranormalnym. Siedząc na ławce na peronie, wyobrażał sobie, że Laurent był duchem zmarłego dawno temu lokatora mieszkania Laure – w końcu budynek powstał w 1878 roku, tak głosiła tabliczka na fasadzie. Oglądał kiedyś taki film, z Bruce'em Willisem i małym chłopcem, który widział zmarłych. Było też *Uwierzyć w ducha*, świetna komedia romantyczna z aż nadto przystojnym – nawet jak na ducha – Patrickiem Swayze i Demi Moore. Ale ta hipoteza pasowała tylko do hollywoodzkiego kina, do wymyślonych historii, które wychodzą z głów scenarzystów. Nie miała żadnego związku z rzeczywistością.

Przyjechał pociąg i przez następne cztery stacje William flirtował z myślą, że Laurent był fizyczną manifestacją duszy podczas wędrówki astralnej – jakiegoś lamy, którego ciało znajdowało się gdzieś bardzo daleko i który posiadał intuicyjną wiedzę na temat imienia kota, imienia i nazwiska Laure i rozmaitych wydarzeń z jej życia. Ale ta teoria też nie dawała się utrzymać – była zbyt niejasna, zbyt tybetańska. Zresztą nic nie wiedział o wędrówkach astralnych ani o możliwościach duchowych tybetańskich lamów.

Na jedenastej stacji przypomniał sobie dokument, który oglądał kilka miesięcy wcześniej, o księdzu żyjącym na początku dwudziestego wieku, Ojcu Pio. Ten święty człowiek nie tylko otrzymał stygmaty Chrystusa, lecz także posiadał zdolność omniprezencji, czy też bilokacji, jak mówiono w filmie. Rzeczywiście widziano go w tym samym czasie w wielu miejscach, i to odległych od siebie o tysiące kilometrów. Świadkowie mówili o tym z pełnym przekonaniem. Kościół potwierdził, że tak było, chociaż nie nadawał sprawie rozgłosu.

Te mistyczne rozważania w wagonie metra nasunęły mu dwa słowa, które sprawiły, że przeszył go

dreszcz: anioł stróż. Przecież dzwonek przy drzwiach mieszkania Laure rozbrzmiał dokładnie wtedy, kiedy się zastanawiał, kto mógłby go zastąpić w opiece nad kotem podczas jego podróży do Berlina. Gość od razu zgodził się karmić Belphégora pod jego nieobecność, jakby właśnie po to zjawiał się na piątym piętrze kamienicy. Żeby im pomóc, jemu i Laure. Jakby taką miał misję. Zaczął się zastanawiać, jakie jest prawdopodobieństwo pojawienia się anioła w centrum miasta, i wtedy do jego uszu dotarł dźwięk oznajmiający, że drzwi się zamykają. Na stacji, na której powinien wysiąść. Zerwał się i wyskoczył z wagonu. Nie, to wszystko nie składało się w logiczną całość, ani anioły, ani lamowie, ani duchy zmarłych. Skądinąd Laurent miał wpaść rano, żeby mu oddać klucze – więc z pewnością ktoś go widział, ktoś poza nim. Ta myśl go pokrzepiła i kiedy wjeżdżał na górę ruchomymi schodami, resztki ezoterycznych pomysłów ostatecznie wyparowały mu z głowy.

W drzwiach pracowni wpadł na Pierre'a dźwigającego w ramionach ciężką, drewnianą, połączoną rzeźbę.

– No i co? – rzucił Pierre. – Widziałeś ją? Jak się czuje?

– Czuje się dobrze, lekarz jest zadowolony. Kazała was wszystkich ucałować. Powinna wyjść za cztery dni.

Pierre pokiwał głową.

– Wraca z dalekiej podróży – powiedział.

– Słuchaj, Pierre, przyszedł tu ktoś do mnie dzisiaj rano?

– Nie, nikogo nie widziałem.

Ruszył dalej. Podszedł do Agathe mieszkającej podłozę pod płatki złota. Miała nimi pokryć – w całości – stojącą przed nią współczesną rzeźbę. Odwróciła się do niego.

– Jak ona się czuje?

– Dobrze, jest przytomna. Lekarz jest zadowolony. Wszystkich was całuje, powinna wyjść za cztery dni.

– Uff – odetchnęła Agathe.

– Powiedz... przyszedł ktoś do mnie rano?

– Nie, nikogo nie widziałam.

Podszedł do nich François ze zgaszoną fajką między zębami.

– I co, widziałeś ją?

– Tak, ma się dobrze. Lekarz jest zadowolony, całuje was, powinna wyjść za cztery dni.

– Wreszcie jakaś dobra wiadomość, stary – powiedział François.

– François, czy dzisiaj rano nikt mnie nie szukał?

– Nie, nikogo nie widziałem.

William zamknął oczy.

– William! – zawołał Sébastien Gardhier. Wychylił się przez poręcz schodów, z pierwszego piętra. – I co, widział ją pan?

– Tak, ma się dobrze. Lekarz jest zadowolony, jest przytomna i powinna wyjść za cztery dni.

– Wspaniale, ucałuj ją od nas wszystkich – odpowiedział Sébastien Gardhier.

William ruszył w głąb pracowni. Minął Jeanne polerującą agatem połączoną rzeźbę.

– Słuchaj, Jeanne – zaczął niemal uroczystym tonem. – Nikt o mnie nie pytał dzisiaj rano?

– Nie – odpowiedziała. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? Dziwnie wyglądasz. Jak się ma Laure?

– Ma się dobrze, wszystko jest w porządku. Wszystko jest w najlepszym porządku. Amandine – mruknął. – Gdzie jest Amandine?

– Poszła do sklepu, powinna zaraz wrócić.

Od dziesięciu minut krążył po podwórku – powiedział, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza – i wreszcie ją zauważył.

– Amandine! – zawołał i ruszył szybko w jej stronę.

Amandine stanęła w miejscu.

– Boże, nie – powiedziała, przyciskając pięść do ust, jakby chciała powstrzymać wychodzące z nich słowa. – Tylko nie mów, że Laure... – wyszeptała niemal bez tchu.

– Laure czuje się dobrze, jest przytomna, niedługo ją wypuszczą.

– Oszalałeś?! – krzyknęła Amandine. – Przestraszyłeś mnie, myślałam, że nie żyje!

– Strasznie mi przykro – wymamrotał. – Bardzo cię przepraszam.

– Cała się trzęsę – powiedziała, patrząc na swoje drżące dłonie.

William przez chwilę plątał się w przeprosinach.

– Wpadł tu rano jakiś facet, żeby ci oddać jej klucze – powiedziała ze złością, sięgając do kieszeni bluzy.

– Dzień dobry – powiedział Baulieu. Wszedł bez pukania. – Jak się dzisiaj czujemy?

– Lepiej – odpowiedziała Laure.

– Świetnie – odparł Baulieu. Usiadł na brzegu łóżka i pewną ręką zmierzył jej ciśnienie, miarowo naciskając małą gruszkę aparatu. – Rozwiązaliście zagadkę tajemniczego mężczyzny? – zapytał ze wzrokiem wbitym w wyświetlacz.

– Myślimy, że to sąsiad.

Baulieu pokiwał głową.

– Sto dwadzieścia pięć... Zawroty głowy? Mdłości? Bóle głowy?

– Trochę, wczoraj wieczorem.

– To normalne. Jest dobrze. Moim zdaniem szybko wróci pani do połączania – powiedział z uśmiechem.

– Tak, wszystko będzie jak dawniej – mruknęła. – Tylko już nigdy nie odzyskam torebki.

– Kupi sobie pani inną...

– Nie, nigdy mi się nie uda kupić tego, co było w środku. Nie da się kupić kawałka własnego życia. Pewnie panu wydaje się to głupie, ale trochę tak się czuję.

– Wierzę pani – powiedział, kładąc dłoń na jej dłoni. – Jest pani moją ostatnią pacjentką. Cieszę się, że kończę karierę przebudzeniem.

– Dziękuję, profesorze – szepnęła po chwili milczenia.

– Nie – powiedział cicho Baulieu, odwracając głowę w stronę okna. – To ja pani dziękuję. Niech pani dalej robi piękne rzeczy, niech pani będzie szczęśliwa, a przynajmniej próbuje. Życie jest kruche, sama pani tego doświadczyła. – Wstał i uśmiechnął się do niej. – Jeszcze jedno – dorzucił, zwijając ciśnieniomierz. – Jestem starym mizantropem i nie za bardzo wierzę w sąsiada, który by karmił kota nieznajomej pod jej nieobecność. – Puścił do niej oko i wyszedł bez dalszych wyjaśnień.

Laurent siedział za biurkiem przy wejściu i przeglądał stan magazynu na ekranie komputera. Maryse wspięła się na drabinkę i próbowała zaprowadzić trochę porządku w książkach historycznych. Damien pogрузił się w długiej rozmowie z jednym ze swoich ulubionych klientów, panem Berlierem, profesorem matematyki i emerytowanym wykładowcą na jednej z najlepszych paryskich uczelni. Zabawnie było patrzeć na starszego pana o prostej jak strzała sylwetce, zawsze w krawacie i z chusteczką w butonierce, rozmawiającego z wyrośniętym długowłosym chłopakiem z bródką i kolczykiem w uchu, którego prędeż można by posądzić o zainteresowanie winylami z muzyką reggae niż esejami filozoficznymi. Od co najmniej pół godziny ich dyskusja zapewniała księgarni dźwiękowe tło, bynajmniej nie niemiłe. Z pojedynczych słów, które do niego docierały, Laurent mógł wnosić, że dwaj filozofowie dyskutują o pojęciu rzeczywistości, nawiązując na przemian do Kartezjusza i najnowszego dzieła matematyka Miszy Gromowa. Profesor Berlier twierdził, że rzeczywistość tak naprawdę nie istnieje, że jest tylko formułą matematyczną na dnie naszych oczu, które na jej podstawie konstruują jakąś całość z próżni i atomów.

– Rzeczywistość istnieje i zarazem nie istnieje – sprzeciwiał się Damien.

Laurent odwrócił głowę w stronę Maryse, która wzniosła oczy ku niebu, demonstrując wszem wobec, że nie obchodzą jej te koncepcje i że doskonale poradzi sobie bez nich. Otworzyły się drzwi i do księgarni wszedł człowiek około pięćdziesiątki. Ruszył w stronę Laurenta.

– Zna pan *Tęsknotę za tym, co możliwe*?

– Tak – odpowiedział Laurent, patrząc na niego ze zdumieniem.

Klient uśmiechnął się do niego, był zmieszany.

– Przepraszam. – Laurent się ocknął. – Zaraz panu przyniosę.

Książka Antonia Tabucchiego o Pessoa. Tylko że to nie tytuł książki usłyszał, lecz pytanie. Prawdziwe pytanie zadane przez nieznanego. Pytanie, na które odpowiedział z całą szczerością: tak. Tęsknił za tym, co byłoby możliwe. I kiedy przypadkowy klient wyszedł ze swoją książką, zaczął się zastanawiać, czy ten człowiek nie przekroczył progu jego księgarni właśnie po to, żeby nazwać uczucie, które Laurent w sobie nosił.

Czy można tęsknić za czymś, co nie miało miejsca? To, co nazywamy żalem i co dotyczy tych sytuacji w naszym życiu, co do których mamy niemal niezbitą pewność, że podjęliśmy złą decyzję, byłoby szczególnym tego przypadkiem, przepełniającym nas tajemniczym i słodkim upojeniem: tęsknotą za tym, co możliwe. Tęsknota za spotkaniem z Laure. W sferze możliwości, które nigdy się nie urzeczywistniły, widział kawiarnię, w której się umówili. Laure miała na sobie białą sukienkę na ramiączkach. Do tego fioletową torebkę i okulary przeciwsłoneczne. Ten dzień, kiedy się spotkali, był bardzo jasny. Było ciepło i postanowili usiąść w ogródku. „Laurent?” – powiedziała. Usiadła i zdjęła okulary. Długo na siebie patrzyli, przedłużając milczenie przed pierwszym zdaniem, które miało paść, aż w końcu ona

przymknęła oczy i się uśmiechnęła. Rozmawiali, a potem spacerowali ulicami. Widział to wyraźnie: szli obok siebie wzdłuż szpaleru drzew. Słońce przeświecało przez gałęzie, rzucało jasne plamy na chodnik, a białe baleriny Laure przechodziły w rytmie jej kroków z cienia do światła. Potem baleriny się zatrzymały, a on spojrzał na ich właścicielkę. Patrzyła na niego bez ruchu. Wiedział, że to właśnie ta chwila, kiedy się pocałują. Właśnie to sugerował Tabucchi w tytule: czasem przegapiamy coś bardzo ważnego. Miłość, pracę, przeprowadzkę do innego miasta, innego kraju. Przechodzimy obok jakiejś możliwości, która jest tak bardzo na wyciągnięcie ręki, że mimo wszystko chwytny jakiś jej odpryski. Są jak audycja radiowa nadawana z bardzo daleka. Słyszymy głównie szum, a jednak kiedy nadstawimy uszu, możemy rozróżnić urywki ścieżki filmowej z tego życia, które nie miało miejsca. Ku własnemu zaskoczeniu nagle wygłaszamy kwestie, które nigdy nie padły, słuchamy odgłosu swoich kroków w miejscu, gdzie nigdy nie byliśmy, wraca do nas szum fal z plaży, na której nasza noga nigdy nie stanęła. Słyszymy śmiech i miłosne słowa kobiety, z którą nic nas nie łączyło. Zaledwie przemknęło nam przez głowę, że coś mogłoby między nami być. Może ona też by tego chciała – to nawet prawdopodobne – ale nic się nie stało. Z niewiadomej przyczyny nie ulegliśmy słodkiemu zawrotowi głowy, który towarzyszy pokonywaniu tych kilku centymetrów, dzielących nas od twarzy drugiego człowieka przed pierwszym pocałunkiem. Przegapiliśmy to, przeszliśmy obok, ale tak blisko, że coś zostało.

Damien i profesor ciągnęli swój kabaret. Sprzeczała się teraz o wielość światów i cytowali hipotezy badaczy o rosyjsko brzmiących nazwiskach. Laurent zastanawiał się, czy w tych światach też są księgarze noszący pudła pełne książek, robiący inwentaryzacje i znajdujący na ulicy damskie torebki. Pod wpływem tej myśli odchylił się na krześle i wbił niewidzące spojrzenie w skwer za oknem. Całkiem możliwe, że rzeczywistość, którą postrzegamy, jest tylko formułą matematyczną na dzień oka, bo w oczach Laurenta nie odbijały się ani drzewa, ani pomnik, ani brama. Duchem był gdzie indziej. U Laure. A dokładniej na schodach w jej domu. Podeszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Belphégor wyslizgnął się na klatkę, żeby go powitać. Wszedł: małe obrazki na ścianach, misa ze złotymi kluczami, fikus w słońcu padającym z okna... Wszedł do kuchni, nalał sobie szklaneczkę jacka daniel'sa i poszedł do salonu. Siedząca na kanapie Laure podniosła wzrok i spojrzała na niego z uśmiechem.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami, William podał jej swoje klucze i odkaslnął.

– Zanim wejdiesz, muszę ci o czymś powiedzieć... Skłamałem, bo nie chciałem cię wystraszyć.

Laure spojrzała na niego.

– Coś się stało Belphégorowi?

– Nie, nie... – jęknął William. Znow źle się do tego zabrał. Ostatnio niechący zasugerował Amandine, że Laure nie żyje, a teraz zrobił to samo w odniesieniu do kota. Stanowczo potrzebował wakacji. Może w Tajlandii. Albo na Bali. W każdym razie gdzieś daleko. – Z twoim kotem wszystko w porządku. W absolutnym porządku – zapewnił. Zapadła cisza. – Chodzi o twoją torebkę... Jest tutaj, wróciła.

– Słucham? – powiedziała Laure, a ponieważ William nie odpowiedział, przekręciła klucz w zamku. Belphégor wybiegł jej na spotkanie.

– Och, mój koteczek, już jestem! – powiedziała. Wzięła go na ręce i weszła. Kiedy tylko przekroczyła próg, doznała uczucia, które ogarnia każdego, kto po długiej nieobecności wraca do domu. Znajome miejsca są jak odkurzone – odkurzone z tego, że codziennie na nie patrzymy i w końcu przestajemy je widzieć. Wszystko wydaje się ostrzejsze, jak zdjęcie, któremu przywrócono oryginalne kolory i kontrasty.

Salon był skąpany w słońcu. Kot zeskoczył z jej rąk na parkiet. Podniosła wzrok i spojrzała na Williama.

– W sypialni – powiedział.

Przeszła kilka kroków i pchnęła drzwi. Torebka leżała na białej narzucie, a obok niej sukienka na ramiączkach. Na jasnofioletowej skórze – koperta. Ktoś ją zaadresował czarnym długopisem: *Dla Laure Valadier*. William zamknął oczy i przygryzł dolną wargę.

Tego wieczoru, kiedy odzyskał klucze, przyszedł nakarmić kota. Gdy otwierał drzwi, zauważył, że nie były zamknięte na żaden zamek. Coś mu nie pasowało, a jednak wszystko wydawało się normalne. Dopiero po kilkunastu minutach wszedł do sypialni i znalazł torebkę, sukienkę i list. Oczywiście nie oparł się pokusie i przeczytał go. Ponoślił część odpowiedzialności za to, że torebka znalazła się na łóżku. Poszedł do salonu, zdjął z lampy abażur i przysunął zamkniętą kopertę do żarówki. Pod światło zrobiła się przezroczysta i bez trudu odczytał to, co było w środku. Laurent, księgarz, nigdy nie był chłopakiem Laure. Był przypadkowym przechodniem, człowiekiem, który znalazł na ulicy jej fioletową torebkę. William usiadł na kanapie – musiał to przemyśleć. Postanowił nie mówić nic Laure, żeby jej nie przestraszyć. Leżała w szpitalu i dopiero wyszła ze śpiączki. Po prawie tygodniu. Na razie będzie najlepiej, jeśli pomyśli, że ten ktoś był po prostu sąsiadem, który jej oddał przysługę. Zadziałało. Kiedy znow poszedł do szpitala, od razu wróciła do tematu: kim był ten Laurent, księgarz, który przychodził karmić jej kota? Skąd ją znał? Jak wyglądał? Co mówił? William postanowił maksymalnie uprościć swoją opowieść: facet zadzwonił do drzwi i chciał rozmawiać z Laure. Był bardzo miły. Powiedział mu,

że jej nie ma, że jest w szpitalu, i dodał, że musi wyjechać na trzy dni i nie wie, co zrobić z kotem. Wtedy facet uprzejmie zaproponował, że się nim zajmie – a on nie widział powodu, żeby odmówić. Na koniec dodał:

– To musiał być ktoś z twoich sąsiadów, Laure, bo któż by inny?

– Tak... – przyznała w końcu. – Na pewno masz rację. Jest kilku nowych lokatorów. Na drugim piętrze mieszka bardzo miły facet, to może być on. Chyba mówił, że zajmuje się komiksami.

– No i proszę – podchwycił William. – Pewnie prowadzi księgarnię z komiksami. – Odetchnął z ulgą.

Teraz wiedział, że ta ulga była przedwczesna. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: dał klucze do mieszkania i powierzył ukochanego kota przyjaciółki, jej oczko w głowie, zupełnie obcemu człowiekowi. A teraz Laure siedziała na brzegu łóżka i czytała krótki list, który mógłby jej wyrecytować z pamięci.

Droga Laure!

Przepraszam, że tak głęboko wdarłem się w Pani życie. Nie miałem takiego zamiaru. Znalazłem na ulicy torebkę i zacząłem szukać właścicielki, żeby osobiście oddać jej zgubę. Wszystko potoczyło się za szybko i trochę mi się wymknęło spod kontroli.

Wiem, że ma się Pani lepiej. Wiem też, że nigdy Pani nie spotkam. Posunąłem się za daleko. Jak pisał Patrick Modiano – którego, zdaje się, Pani lubi – w Willi „Triste”: „Bywają takie tajemnicze istoty – zawsze te same – trzymające straż na wszystkich rozstajach ludzkiego życia”². Powiedzmy, że niechcący stałem się jedną z takich istot.

Wszystkiego dobrego. Żegnaj.

Laurent

Laure bez słowa rozłożyła zawartość torebki na łóżku. Kot wskoczył na narzutę i zaczął wszystko uważnie obwąchiwać. Leżały tam rzeczy, z którymi się już pożegnała i których nie spodziewała się odzyskać. Pierwszą rzeczą, którą wymacała w torebce, było małe mosiężne lusterko z wygrawerowanymi ptakami, które babcia dała jej na ósme urodziny: „Już czas, żeby to lusterko znów odbijało młodą twarz” – powiedziała nie bez goryczy. To był jej pierwszy ładny prezent. Nigdy się z nim nie rozstawała. Dalej pęk kluczy z egipską zawieszka z jej imieniem i nazwiskiem. Dostała ją, kiedy pracowała w Kairze. Łańcuszek się zerwał przed sześcioma miesiącami. Przyczepiła go do kółeczka z kluczami. Użyła obciążników do biżuterii, które znalazła w pracowni Gardhiera. Wymacała palcami połączoną zapalniczkę, którą zawsze nosiła w torebce, żeby móc poratować palących przyjaciół, kiedy nie mieli przy sobie ognia. Wyjęła ją i potarła – buchnął płomień. Na samym dnie znalazła trzy kamyki: mały biały, który przywiozła z Antiparos, z Cyklad, latem 2002 roku – była tam z Xavierem – długi szary, który zabrała z parku w Edynburgu przed czterema laty, i okrągły czarny z Bretanii, a może z południa Francji, nie mogła sobie przypomnieć... I jeszcze notes i długopis Montblanc Xaviera. I spinka do włosów z niebieskim materiałowym kwiatkiem, którą miała od piętnastego roku życia i którą przez wiele miesięcy oglądała na wystawie, zanim uzbierała na nią pieniądze. Przez te wszystkie lata plastik nie pękł, co dowodziło, że sklep Candice Beauté sprzedawał towary doskonałej jakości. Jej ulubiona para czerwonych kości do gry, kupiona w Londynie przed przeszło pięciu laty w sklepie specjalizującym się w grach stolikowych. Czasem je rzucała, kiedy nie potrafiła podjąć decyzji. Szminka Coco Shine od Chanel, czerwona, wpadająca w koral, przepis na grasicę cielęcą wyrwany z „Elle” u dentysty przed dwoma tygodniami, dokładnie w chwili, kiedy dentysta otworzył drzwi, żeby ją wezwać do gabinetu – musiał zauważyć, ale nic nie powiedział. *Nocny wypadek* Patricka Modiano. Otworzyła książkę na pustej stronie. „Przepraszam... bardzo przepraszam, że tak pana zaczepiam na ulicy, ale... Pan Patrick Modiano, prawda?”. „Tak... Cóż... Tak, to ja”. Telefonu nie było, tylko ładowarka. Nie było też portfela, był za to czerwony notes Moleskine. Otworzyła go i zaczęła przeglądać swoje własne myśli, notowane od przypadku do przypadku w metrze i w kawiarniach. Wszystkie te: lubię, boję się, podoba mi się. Pamiętaj o chrupkach dla Belphegóra. Sen, kolejny sen. Potem wyciągnęła kopertę ze zdjęciami i znalazła fotografię rodziców zrobioną w drodze z południa Francji pod koniec lat siedemdziesiątych i zdjęcie Xaviera przed domem rodziców, pod jabłonią. Zrobiła je tuż przed którymś z tych letnich śniadań, które jej się śniły przez ostatni tydzień. I trzecie, zdjęcie domu, zrobione z głębi ogrodu. Można było na nim zauważyć Sarbacane’a. Schował się pod wierzbą płaczącą. Zamknęła oczy i przeciągnęła ręką po futrze Belphegóra. Myślała, że już nigdy nie zobaczy tych fotografii, fotografii, które zawsze nosiła w torebce i których negatywy już dawno zgubiła. W małej kieszonce nie było kwitu z pralni – za to na łóżku leżała sukienka, nieskazitelna w foliowym opakowaniu.

Wzięła spinkę do włosów i przypięła nią spadające na twarz kosmyki. Obok kosmetyczki

z przyborami do makijażu i książki Modiano położyła małą, wciąż do połowy pełną butelkę wody Évian, z której wypila w taksówce kilka łyków, zanim ją napadnięto. W torebce było więcej, niż pamiętała, i w miarę jak wyciągała kolejne rzeczy, miała coraz silniejsze wrażenie, że cofnęła się do czasów dzieciństwa, do czasów, kiedy siedziała pod choinką i wyciągała prezenty bożonarodzeniowe z czerwonej bawełnianej skarpety. Jej siostra miała taką samą skarpetę i dostawała tyle samo prezentów, ale zawsze wyjmowała je o wiele szybciej. Ona wolała przedłużyć tę przyjemność. Spryskała nadgarstek perfumami, przytknęła do niego nos i zamknęła oczy.

– William... – powiedziała.

Jej przyjaciel stał w drzwiach, nieruchomy jak posąg.

– Tak? – odpowiedział.

– Opowiedz mi o Laurencie.

Podoba mi się sposób, w jaki ten mężczyzna znika, nie zostawiając adresu.

Podoba mi się jego list.

Podoba mi się, że jest księgarzem.

Boję się, że jest trochę pokręcony.

Boję się, że nigdy go nie spotkam.

Przeraza mnie myśl, że obcy człowiek chodził po moim mieszkaniu, ale cieszę się, że Belphégor się go nie bał. To dowodzi, że wcale nie jest przerażający (paradoks).

Podoba mi się, że jakiś mężczyzna zadał sobie tyle trudu, żeby mnie znaleźć (nikt nigdy się dla mnie tak nie starał).

Ilu księgarzy w Paryżu może mieć na imię Laurent?

Wydawało jej się, że nie paliła w kominku, zanim to wszystko się stało, ale nie mogłaby przysiąc. Może rozpaliła ogień w któryś z zimnych wieczorów, może nie. Poza tym szczegółem w mieszkaniu nie było żadnych śladów obecności Laurenta. Przemknął przez nie jak lekki wietrzyk. Tylko kot dobrze go pamiętał. Z pewnością uważnie śledził wszystkie jego poczynania i gesty, ale nie chciał się podzielić tą wiedzą. Laurent patrzył na jej rzeczy, na jej obrazy, na jej półki – z pewnością oglądał jej książki. Był księgarzem – czy jej upodobania literackie przekonały go, że warto było jej szukać? Czy *Nocny wypadek* z dedykacją w jej torebce zaciekał go do tego stopnia, że zapragnął się dowiedzieć więcej o kobiecie, która przełamała nieśmiałość i zaczęła na ulicy Patricka Modiano? O tej późnej godzinie znała już list Laurenta na pamięć. Znalazł jej torebkę na ulicy – ale na której ulicy? Prawdopodobnie wziął ją do domu i przejrzał zawartość. Oglądał każdą rzecz z zacięciem detektywa i w końcu trafił na trop. Musi być trochę szalony. Albo romantyczny. Albo bardzo się nudzi w życiu. Albo wszystko naraz. Przejrzał jej kalendarzyk, a zwłaszcza czerwony notes, więc wiedział, czego się boi, co lubi, wiedział nawet, co jej się śni. Tylko Xavierowi czytała czasem, co lubi i czego się boi. Ale nie wszystko. Przed nim i po nim nikt nie miał dostępu do tych stron. Prowadziła zeszyty od okresu dorostania, nie potrafiłaby już zliczyć, ile ich było. Wszystkie pieczołowicie przechowywała w czterech pudełkach po butach. Trzymała je w piwnicy. Teraz był w tym mieście człowiek, który wiedział o niej prawie wszystko. Mężczyzna, którego nigdy nie spotkała, a który mimo to wiedział, jak wygląda jej mieszkanie, mógł z bliska obejrzeć wszystkie jej rzeczy, głaskał jej kota, dokładnie wiedział, co nosi w torebce, co czyta, jak wygląda jej sypialnia. Było kilku mężczyzn, którym dała dostęp do swojego ciała, ale wyłączwszy Xaviera, nigdy nie pozwoliła żadnemu otworzyć drzwi do swojej duszy. Nie żeby tego nie pragnęli: to ona nie chciała się przed nimi otworzyć. Nie potrafiła. Franck, jej ostatni kochanek, padł tego ofiarą. Bardzo nalegał, żeby go zaprosiła do domu. Kiedy przyszedł, Belphégor schował się pod kanapę. Franck wygłosił kilka nietrafionych opinii na temat jej obrazów i innych rzeczy. Kolekcja kości do gry na jej biurku wydała mu się dziwna. Kiedy wyszedł z gabinetu, rzuciła kośćmi – jedynka i dwójka. „Masz książki Sophie Calle? Trochę stuknięta, nie?”. Nie odpowiedziała. Im dłużej chodził po jej mieszkaniu, tym wyraźniej widziała, że jego rysy się napinają, a spojrzenie twardnieje. Trochę się bała jego bladych oczu – kiedy był zły, jego spojrzenie stawało się nieruchome i przerażające, jak spojrzenie wilka. A kiedy zaczął mówić o Williamie, snuć teorię, która wydawała mu się bardzo przenikliwa – o kobietach i ich kolegach pedałach, którzy jego zdaniem szukają w nich siostr albo matek – zrozumiała, że tego wieczoru nie pójdzie z nim do łóżka. Zresztą był przeciętnym kochankiem. Udała więc, że ma atak migreny, i odesłała go do domu. Kot wyszedł spod kanapy, wyraźnie wściekły, że musiał tam spędzić ponad godzinę, i poszedł się położyć, nie zaszczyciwszy swojej pani nawet jednym spojrzeniem.

Odnaleźć kobietę, dysponując tylko jej torebką. Żaden ze znanych jej mężczyzn nie porwałby się na coś takiego. Ani jej ojciec, ani Xavier. Chociaż może? Xavier na pewno przejrzałby zawartość, ale czy

udałoby mu się wytropić właścicielkę bez dowodu osobistego albo numeru telefonu? Jak właściwie temu Laurentowi udało się dotrzeć do jej domu? William powiedział, że usłyszał dzwonek, otworzył drzwi i on po prostu tam stał. Była jednak pewna, że na żadnej rzeczy, które miała w torebce – nie licząc dokumentów w portfelu – nie było jej nazwiska. Ani tym bardziej adresu. Powiedział, że dzwonił kilka razy. Owszem, jej numer znajdował się w książce telefonicznej, ale musiałby jeszcze znać jej nazwisko. Jedynym tropem, jakim dysponował, była książka Modiano z jego dedykacją. Ale z niej mógł się dowiedzieć tylko jak ma na imię. Nawet jeśli dysponował pokładami cierpliwości i zdolnością dedukcji godną najlepszych śledczych, nie mógł znać jej nazwiska. Więc poszedł do pralni, żeby odebrać jej sukienkę na ramiączkach – z pewnością skojarzył datę w kalendarzyku z datą na kwiecie – ale w pralni Afrodyta też nie znali jej nazwiska ani adresu.

Prawda jest taka, że nie wiem o nim więcej, niż on wiedział o mnie na początku: znam tylko jego imię – pomyślała, zanurzając się w pełnej piany wannie. Kot wskoczył na krawędź wanny i zamarł jak posąg. Nie spuszczał z niej wzroku.

– Widziałeś go, wszystko wiesz. Powiedz mi coś – szepnęła błagalnie.

Kot przymknął złote oczy. Pomyślała o egipskiej bogini Bastet – Belphegor wyglądał zupełnie jak ona. Zamknęła oczy. Marzyła o tej chwili przez te wszystkie dni w szpitalu. Powtarzała sobie, że kiedy znajdzie się we własnej wannie pod warstwą piany o zapachu kwiatu akacji, wszystko się wreszcie skończy. Gorąca woda i piana otuliły jej piersi, a potem podeszły wyżej, aż do szyi. Ześlizgnęła się jeszcze niżej, zanurzyła w wodzie uszy. Odgłosy ucichły, ciepła cisza spowiła ją jak wata. Odruchowo sięgnęła między piersi, ale nic tam nie znalazła. Odkąd zerwał się jej złoty łańcuszek, nie nosiła już nic na szyi. Małe jajko Fabergé z czerwonej emalii, które dostała od matki, schowała do szuflady w sypialni, a egipską zawieszka przypięła do kluczy.

Otworzyła oczy i podciągnęła się do góry. Zawieszka z hieroglifami. Tylko tam było jej nazwisko.

Chloé obserwowała ojca. Wydawał się zmartwiony i trochę nieobecny. Wpatrywał się w półkę z karmą dla kotów, a dokładniej w to miejsce, gdzie leżało pięć niebieskich paczek chrupek Virbac: Adult Cat – z kaczką, *with duck*. Claire wyjechała, a Bertrand miał sesję zdjęciową, więc to on został zaciągnięty na doroczną wizytę Putina u weterynarza. Kot siedział w swojej torbie na kolanach Chloé i pomrukiwał nerwowo. Może trochę przesadziła tamtego wieczoru, kiedy mu powiedziała, że jest beznadziejny, bo nie doprowadził sprawy torebki do końca. Była rozczarowana, że całe to wspaniałe śledztwo, w którym i ona miała swój udział, skończyło się zwykłym listem, na który Laure nie mogła nawet odpowiedzieć. Ale nie udało jej się przemówić ojcu do rozsądku: nie, nie mógł podać w liście swojego numeru ani maila. Musiał zniknąć, usunąć się, bo nie potrafiłby odpowiedzieć na całkowicie uzasadnione pytania, które z pewnością zadałaby mu właścicielka torebki. Przesadna męska ostrożność? Nieznajomość kobiecej psychiki? Wybrał rozwiązanie, które pozwalało mu się elegancko wycofać, ale jednocześnie na zawsze kładło kres tej romantycznej historii.

– Tam też jest kot? – spytała Chloé.

Jakby przywoływała daleki kraj, do którego nigdy się nie wraca, jak imigranci, którzy wspominają kraj dzieciństwa.

– Tak – odpowiedział niechętnie.

– Jak wygląda?

– Jest czarny.

– Jak się nazywa?

– Belphégor – odpowiedział.

– Nie, nie kot. Jak ona się nazywa?

– Valadier.

– Putin – odczytał z karty weterynarz, wchodząc do poczekalni.

Dwie kobiety z małymi psami podniosły wzrok znad czasopism i spojrzały na siebie. Pierwsza uniosła ze zdziwieniem brwi, druga pokręciła głową.

– Biedne zwierzątko – mruknęła.

Gdy tylko wyjęli kota z torby, zrobił swoją diabelską minę i syknął na weterynarza.

– Wciąż tak samo się cieszy na mój widok – powiedział weterynarz z udawaną wesołością. – Ten kot jest chodzącą reklamą naszego zawodu.

Laurent podszedł do ściany, do której przyczepiono pinezkami mnóstwo zdjęć zwierzątek. Między husky a kotem norweskim zauważył czarnego kota, upozowanego jak posąg. Wpatrywał się w obiektyw. Wyglądał, jakby na coś czekał.

Laure usiadła w kawiarnianym ogródku i zamówiła espresso z odrobiną mleka. Gdyby paliła, z pewnością zapaliłaby papierosa. Siedziałyby z tym skupionym wyrazem twarzy, który przybierają miłośnicy nikotyny po pierwszym zaciągnięciu. Dwanaście księgarń i żadnego Laurenta odpowiadającego rysopisowi, który jej przedstawił William. Przeczytała jeszcze raz swoje notatki: raczej wysoki, szczupły, ciemne włosy, czterdzieści pięć, czterdzieści siedem lat, oczy brązowe. Wieczorem zrobiła spis księgarń w okolicy, z pominięciem Wyspy Książek i Kwiatu Słów, gdzie kupowała książki i znała – z widzenia albo nawet z imienia – właścicieli i sprzedawców. Zakładała, że złodziej nie przejechał przez cały Paryż, zanim się pozbył torebki. Księgarnia Laurenta musiała się chyba znajdować w tej samej dzielnicy. Kelner przyniósł jej espresso. Wsypała do niego całą torebkę cukru.

Zaczęła od Liter, księgarni znajdującej się pięć przecznic od jej domu.

– Dzień dobry. Moje pytanie może się pani wydać dziwne: czy pracuje tu ktoś, kto ma na imię Laurent?
– Wygłaszała to zdanie co najmniej ósmy raz. Spokojnie, z uśmiechem, jak zawsze, kiedy się chce z góry przeprosić za trochę niestosowną prośbę.

Znalazła już czterech Laurentów. Za pierwszym razem, kiedy młoda blondynka odpowiedziała: „Tak, oczywiście, zaraz go zawołam”, serce prawie jej wyskoczyło z piersi. Dziewczyna odeszła od kasy i zniknęła między półkami.

– Laurent! – krzyknęła w stronę schodów. – Ktoś do ciebie. Zaraz przyjdzie – powiedziała i zajęła się innym klientem.

Podszedł do niej brunet około czterdziestki, w małych okularach w metalowych oprawkach.

– Dzień dobry. Cieszę się, że panią widzę – powiedział z entuzjazmem i wyciągnął do niej rękę. – Nie miała pani problemów z trafieniem?

Przez chwilę milczała, była zakłopotana, a potem, nie spuszczając wzroku, odpowiedziała, że wcale nie było łatwo dotrzeć aż tutaj.

– Wiem, wiem – odpowiedział zmartwiony. – Przez te roboty na skrzyżowaniu jesteśmy o wiele mniej widoczni, ale udało się pani, to najważniejsze. Pokażę pani, gdzie trzymamy wydania kieszonkowe – powiedział, zachęcając ją gestem, żeby poszła za nim. – Na nie trzeba uważać najbardziej, bo najłatwiej je ukraść, ale pani na pewno o tym wie. Drugi dział, którym będzie się pani zajmować, jest tuż obok – tych pięć półek i stół: kryminały. Napisała pani, że dobrze zna amerykańskich autorów. To doskonale, ale zależy mi też na francuskich. Co pani ostatnio czytała?

Spojrzała na niego niepewnie.

– To... nieporozumienie – powiedziała, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– *Nieporozumienie?* – powiedział, marszcząc brwi. – Nie, nic mi to nie mówi. Kto to napisał?

Nieszczęśnik nic nie wiedział o historii z jej torebką i kotem. Wyszła, przepaszając za kłopot.

W Ładnych Książkach nie pracował żaden Laurent, podobnie jak w Towarzystwie Słów, Drzewie

Słów i Dobrym Piórze. Za to właściciel Kota w Okularach odpowiedział z szerokim uśmiechem:

– Laurent? To ja.

Ale miał koło sześćdziesiątki. Siwe włosy i okulary w niebieskich plastikowych oprawkach. Znów musiała opowiedzieć o księgarzu, który przyniósł jej torebkę, karmił jej kota i nie zostawił adresu.

– Proszę mi wybaczyć, trochę chaotycznie to opowiadam – przeprosiła. Postanowiła nic już nie mówić o kocie, bo trudno było to wyjaśnić od zera komuś nieznanemu.

– Wręcz przeciwnie, wszystko jest jasne. Znam bardziej zawiłe historie niż ta o torebce i kocie – odpowiedział właściciel księgarni. – Na przykład taką: ostatnio, kiedy szedłem do Notre-Dame, widziałem mężczyznę z siedmioma kobietami. Siedem kobiet. I każda miała siedem toreb. W każdej torbie siedziało siedem kotek. Siedem kotek, a każda miała siedmioro kociąt. Ilu ludzi i ile zwierząt – łącznie – szło do Notre-Dame?

– Czterdzieści dziewięć razy czterdzieści dziewięć, plus siedem kobiet, plus mężczyzna... Dużo – odpowiedziała.

– Nie – nie zgodził się. – Bardzo mało. Odpowiedź brzmi: jeden człowiek. Tylko ja szedłem do Notre-Dame. Dokąd szli mężczyzna i kobiety z torbami i kotkami – nigdy się nie dowiemy. Przegrała pani, ale proszę się nie przejmować. Jeszcze nikt nie podał poprawnej odpowiedzi. Pójdzie pani ze mną na kolację?

Grzecznie odrzuciła zaproszenie Kota w Okularach i ruszyła dalej. Spotkała jeszcze dwóch Laurentów. Jeden był wysokim brunetem z krótkimi włosami, drugi niskim siwiejącym brodaczem. Do trzech ostatnich księgarń tylko zajrzała. Nikt z pracowników nie odpowiadał opisowi. W Tęczowych Słowach były tylko trzy kobiety, w Czerwonym Zeszycie blondynka za ladą i wysoki chłopak z bródką, a Pudełko z Książkami prowadziło dwóch mężczyzn. Żaden nie pasował. W Ulotnych Słowach zastała pochylonego nad komputerem ciemnowłosego czterdziestolatka. Już miała do niego podejść, kiedy zadzwonił stojący na ladzie telefon. Odebrał:

– Księgarnia Ulotne Słowa, dzień dobry – powiedział. Po chwili dodał: – Nie, mówi Pierre...

To, że Laurent znalazł jej torebkę w tej dzielnicy – jeśli tak było – nie znaczyło jeszcze, że tu znajdowała się jego księgarnia. Równie dobrze mógł mieszkać w okolicy i prowadzić sklep na drugim końcu miasta. Mógł też tylko tędy przechodzić. Złodziej mógł się bardzo oddalić, zanim wyrzucił torebkę. Mógł odjechać skuterem zaparkowanym kilka ulic od jej domu. Może nawet wsiadł do metra i wyrzucił torebkę dziesięć stacji dalej.

Zaczęła się zastanawiać, co na jej miejscu zrobiłaby Sophie Calle. Z pewnością byłoby to bardziej poetyckie niż to, co ona właśnie robiła. Powoli godziła się z myślą o porażce – ślad się urwał. Nigdy nie spotka nieznanego, który cytował Modiano, karmił jej kota i napisał: *Przepraszam, że tak głęboko wdarłem się w Pani życie. Nie miałem takiego zamiaru.* Położyła fioletową torebkę na kolanach i sięgnęła po portfel. Kupiła go poprzedniego dnia. Kiedy włożyła rękę do torebki, jej palce natrafiły na jej ulubione czerwone kości. Czy spotkam kiedyś Laurenta, właściciela księgarni? – zapytała bezgłośnie,

a potem rzuciła kostki na biały marmurowy stół. Uśmiechnęła się blado. Los odpowiedział, że tak, ale rzeczywistość temu przeczyła. Wzięła długopis Montblanc i skreśliła jedną po drugiej dwanaście nazw księgarń, które zapisała w czerwonym notesie.

W wielkim przeszklonym biurze na pierwszym piętrze Chloé przyglądała się w milczeniu szefowi pracowni.

– To typowa osiemnastowieczna rama, stare złocenia... – powiedział Sébastien Gardhier, oglądając ramę z małą martwą naturą. – Moglibyśmy to zrobić dopiero za miesiąc. Czy twoim rodzicom się spieszy?

Chloé pokręciła głową.

– Mogę się przejść po pracowni i zobaczyć, jak to się robi?

Sébastien spojrzał na nią z uśmiechem.

– Tak, możesz. Możesz też zadawać pytania, ale przede wszystkim patrz. To najważniejsze: trzeba patrzeć – powiedział, unosząc palec wskazujący. – Idź i miej oczy szeroko otwarte – dodał, odprowadzając ją na schody.

– Brzydka ta rama – oznajmiła poprzedniego wieczoru przy kolacji.

Bertrand podążył wzrokiem za jej palcem, wskazującym niewielki obraz wiszący na ścianie.

– Proszę cię, Chloé – odpowiedział, dotknięty do żywego. – Jestem bardzo przywiązany do tego obrazu. Należał do mojego ojca.

– Nie mówię, że obraz jest brzydki. – Westchnęła. – Tylko rama. Popatrz, jak zmatowiała.

– Rzeczywiście – przyznał. – Na pewno nie zawsze taka była.

Obraz przedstawiał piękną martwą naturę, z homarem w samym środku. Chloé wyjaśniła, że mama jednej z jej koleżanek zajmuje się pozłotnictwem i że mogłaby go do niej zanieść.

– Ten obraz nie jest chyba aż taki cenny – stwierdziła jej matka.

– Owszem, teraz już jest – przerwał jej Bertrand z poważną miną. – Bardzo się cieszę, że Chloé zainteresowała się czymś, co należy do mnie. Zdejmij jutro rano ten obrazek, Chloé. Zapakujemy go w papier i zanieiesz go przyjaciółce.

– Tylko że to może trochę kosztować – powiedziała Chloé półgłosem.

– Nieważne – przerwał jej Bertrand tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Stać mnie na to, żeby odświeżyć ramę do obrazu.

Chloé pokiwała głową i poszła do kuchni po deser. Jej matka spojrzała na Bertranda.

– Doceniam ten gest – powiedziała miękko. – Bardzo ci dziękuję.

– Wiesz – powiedział Bertrand, dolewając sobie wina – myślę, że pod tą buntowniczą maską twoja córka skrywa prawdziwą kobietę. Jeszcze nas zadziwi.

Imię, nazwisko, zawód. Chloé potrzebowała tylko czterech minut w internecie, żeby znaleźć miejsce, gdzie pracowała Laure Valadier.

W pracowni panowała cisza. Siedmioro pozłotników było pochłoniętych pracą. Pierwszy spojrzał na nią młody człowiek z ufarbowanymi na blond podgolonymi włosami. Od razu wyeliminowała mężczyzn:

blondyna, siwego faceta z brodą, który międlilił w ustach zgaszoną fajkę, i niskiego chłopaka z wyżełowanymi włosami. Brunetka z końskim ogonem odwróciła się do niej i uśmiechnęła.

– Pozwolono mi popatrzeć – powiedziała cicho Chloé i podeszła bliżej.

Kobieta układała płatki złota, jeden przy drugim, na wielkiej tafli szkła. W ruchach jej pędzla, od policzka do skórzanej poduszeczki, było coś hipnotyzującego. Każdy płatek złota trafiał dokładnie tam, gdzie miał trafić. Przyjrzała się jej. Twarz miała ładną, ale coś jej mówiło, że jej ojciec nie mógłby się zakochać w takiej kobiecie. Błyskawicznie zlustrowała jej sąsiadkę, krótkowłosą blondynkę z nadąsaną twarzą. Niemożliwe, pomyślała. A ta z kręconymi włosami, w małych złotych okularach? Czy mogłaby nosić książkę Modiano w fioletowej torebce i zatrzymać pisarza na ulicy, żeby go poprosić o dedykację? Podeszła bliżej. Sprane dzinsy i białe buty Repetto robiły sympatyczne wrażenie. Czy to była Laure? Ich oczy się spotkały, kobieta się uśmiechnęła. Czy wyglądała na taką, która by sobie kupiła fioletową torebkę? Chloé nie wiedziała, co myśleć. Używała blad różowej szminki i morskiego cienia do powiek. Żaden z kosmetyków w torebce nie pasowałby do niej. Zrobiła krok w tył i napotkała jasne spojrzenie za pokrytą płatkami złota płaskorzeźbą. Jasnoniebieskie albo szare. Podeszła bliżej. Kobieta miała ciemne włosy do ramion, upięte na czubku głowy spinką do włosów z niebieskim kwiatkiem. Była ubrana w szary sweterek i czarną stretchową spódnicę, na nogach miała botki na obcasach. Z bliska widać było alabastrową cerę i pieprzyk nad górną wargą. Nakładała płatki złota na dolne partie starej rzeźby. Chloé patrzyła zafascynowana, jak naelektryzowane płatki złota magicznie osiadają na mokrej powierzchni. Kobieta wzięła nóż i na poduszeczce z cielejącej skóry przycięła kolejny płatek w kształt trójkąta, a potem przykleiła go w rogu rzeźby. Pasował idealnie.

– Cześć – powiedziała miłym głosem. – Wpadłaś popatrzeć, jak pracujemy?

– Przyniosłam ramę od obrazu do renowacji, dla rodziców, i chciałam zobaczyć, jak to się robi.

– Rozumiem. Każdy ma swoją skórzaną poduszeczkę i nóż. Przed tym, co robię teraz, jest jeszcze dwanaście innych etapów.

– Połączasz różne rzeczy, prawda? – Chloé gładko przeszła z nią na ty.

– Owszem, sztukaterie, dachy, ramy...

Ale Chloé już nie słuchała. Patrzyła na szary kaszmirowy sweter. Zauważyła na nim charakterystyczny błyszczący punkcik między nitkami: koci włos, którego najwyraźniej nie wyciągnęła rolka do czyszczenia ubrań. Czarny. A obok jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Pochyliła się nad Laure i przymknęła oczy: tak, to była Habanita. Nie miała już wątpliwości. To była ona, właścicielka fioletowej torebki. Otworzyła oczy. Laure przygotowywała się do nałożenia kolejnego złotego płatka.

– Nazywa się Laurent Letellier – wymruczała w jej szyję. – Jest właścicielem księgarni Czerwony Zeszyt.

Dłoń Laure znieruchomiała. Złoty płatek stracił ładunek elektrostatyczny i wirując, opadł na podłogę.

Środa, 29 stycznia

Nie pisałam dziennika, odkąd skończyłam siedemnaście lat. Przestałam niedługo po maturze. Nie wiem dlaczego. Prowadziłam go przecież regularnie od dwunastego czy trzynastego roku życia. (Poszukać dzienników w pudłach w piwnicy). Pamiętam, że w tamtych czasach wklejałam do niego masę rzeczy: bilety do kina i do teatru, na filmy i przedstawienia, na których byłam, liście, które znalazłam podczas spaceru, i paragony z kawiarni. Z datą i godziną. Dzięki temu mogłam sprawdzić, kiedy tam byłam. Myślę, że wklejanie tych przedmiotów było jak gromadzenie dowodów. Miały mi pomóc umiejscowić się w świecie, a nawet – dowieść, że istnieję. Najwyraźniej pewnego dnia przestałam ich potrzebować, bo przestałam prowadzić dziennik – odtąd po prostu starałam się żyć. Nie mam zamiaru wracać do zapisywania dzień po dniu, co robię. Po pierwsze dlatego, że nie robię aż tak wielu pasjonujących rzeczy, żeby warto je było skrupulatnie notować, po drugie mój czerwony notes w zasadzie mi wystarcza. A jednak dziś rano poczułam potrzebę, żeby zapisać, co się ostatnio działo. Znam nazwisko i adres człowieka, który przyniósł moją torebkę. Nazywa się Laurent Letellier. Jest właścicielem księgarni Czerwony Zeszyt. Złapałam się na tym, że zapisałam prawie słowo w słowo to, co powiedziała jego córka. Wciąż słyszę to nieoczekiwane zdanie. Jakby się odbijało w mojej głowie, jak w tej starej grze wideo: na ekranie były dwie kreski i jedna kropka. Trzeba było odbijać kropkę w tę i z powrotem i przesuwając pionowe kreski po obu stronach ekranu, w górę i w dół. Graliśmy w to kiedyś całą sobotę z Natachą Rosen i jej bratem Davidem. To było ponad trzydzieści lat temu. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało, i z pewnością tylko ja wspominam w tej chwili tę deszczową sobotę w ich domu w Garches.

Córka księgarza ma na imię Chloé. Wypiłyśmy razem kawę w loggii, w pracowni. Moja babcia powiedziała, że to młoda, ale bardzo stanowcza osobka. Dokładnie tak jest. Myślę, że mój ojciec żałuje, że nie zostawił ci adresu, i myślę, że chciałabyś go mieć, powiedziała. Od razu przeszła ze mną na ty. Wszystko wie. Kiedy jej powiedziałam, że byłam we wszystkich księgarniach w dzielnicy, wyraźnie się ucieszyła. Pewnie, też bym tak zrobiła. Powiedziała to trochę wyniośle, okręcając kosmyk włosów wokół palca bardzo kobiecym gestem. (W jej wieku też taka byłam?). Zajrzałam przecież do księgarni jej ojca, tylko że już nie zapytałam, czy pracuje tam Laurent. Miałam dosyć ciekawskich spojrzeń i ciągłych rozczarowań. Kiedy byłaś w Czerwonym Zeszycie?, zapytała. Wyciągnęła kalendarz Gallimarda i poinformowała mnie, że to ojciec daje jej taki co roku i że mogłaby dla mnie jeden zdobyć, gdybym chciała. Potem powiedziała to, co kazałam jej powtórzyć: Czwartek? To wtedy zabraliśmy Putina do weterynarza na szczepienia. (Ma kota, którego nazwała Putin – nie chciała mi powiedzieć dlaczego). Potem wstała i oznajmiła, że musi lecieć do szkoły. Kazała mi obiecać, że nigdy nie powiem jej ojcu, że do mnie przyszła. Obiecałam.

Zapytała mnie też, czy mam męża i dzieci. Powiedziałam, że nie, nie mam dzieci, ale miałam męża,

który już nie żyje, zginął w zamachu, bardzo daleko, w Bagdadzie. Patrzyła na mnie bez słowa i kiwała głową. Podobało mi się, że nie odwróciła oczu. Zwykle ludzie spuszczaają wzrok, a potem patrzą na mnie z takim współczuciem, że mam ochotę ich spoliczkować.

Czwartek, 30 stycznia

Zadzwoiłam i usłyszałam jego głos. Przyszłam parę minut po dwudziestej. Żaluzje w księgarni były opuszczone. Na domofonie było mnóstwo nazwisk, w tym L. Letellier. Tak? – zapytał męski głos. Chciałam powiedzieć: Jestem Laure Valadier... Na pewno na chwilę zapadłaby cisza, a potem poprosiłby, żebym weszła. Albo to on by zszedł. Ale nie potrafiłam tego powiedzieć. Nagle poczułam, że chcę sobie dać jeszcze trochę czasu, więc powiedziałam: Przepraszam, pomyliłam numery. Nic nie szkodzi – odpowiedział – miłego wieczoru, a potem się rozłączył. Stałam przed przeszklonymi drzwiami i patrzyłam na hol. Po prawej są drzwi, to na pewno boczne wejście do księgarni. Sklep wnętrzarski Arcane 17 w mojej kamienicy też takie ma. Patrzyłam na schody i na mozaikową posadzkę i myślałam o tym, że człowiek, którego nie znam, a który tak dobrze zna mnie, codziennie patrzy na te wzory. Chloé powiedziała mi, że nie zawsze był księgarzem, że pracował w banku, zajmował się lokatami, i pewnego dnia po prostu to rzucił. Podoba mi się, że można całkiem zmienić swoje życie, mimo że ja zajmuję się tym samym, odkąd skończyłam dwadzieścia cztery lata. Wróciłam na postój taksówek z dziwną myślą, że w końcu ze sobą rozmawialiśmy, mimo że on o tym nie wiedział. Miał przyjemny głos, chociaż domofon trochę go zniekształcał, i to jego miłego wieczoru towarzyszyło mi przez całą kolację u Jacques'a i Sophie. Muszę wszystkim opowiadać o śpiączce i o napadzie. Mam już tego trochę dosyć. Nie rozmawiałam jeszcze nawet z siostrą. Dostałam od niej ostatnio maila: Żadnych newsów? Wszystko dobrze? Odpowiedziałam: Tak, wszystko dobrze, a u Ciebie? Nawet nie wiem, czy jej powiem, co się działo przez ostatnich piętnaście dni. Coraz mniej mnie łączy z Bénédicte. Nawet kiedy wspominamy przeszłość, okazuje się, że pamiętamy zupełnie co innego. Czasem mam wrażenie, że nie miałyśmy tych samych rodziców.

Piątek, 31 stycznia

Dziś bawiłam się w Sophie Calle. Obserwowałam księgarnię. Usiadłam na ławce na skwerze i patrzyłam przez szybę. W środku były trzy osoby: wysoki długowłosy chłopak z bródką, blondynka około sześćdziesiątki i Laurent. Bardzo dobrze pasuje do opisu. William jest podekscytowany jak dziecko, odkąd się dowiedział, że mam jego adres. Męczy mnie, żebym weszła do księgarni. Laurent jest rzeczywiście raczej wysoki, szczupły, ma ciemne włosy, kasztanowe oczy, czterdzieści pięć, czterdzieści siedem lat. Wiedziałam, że w tej sprawie mogę Williamowi ufać. Jest spostrzegawczy, jeśli chodzi o mężczyzn. Na początku widziałam go tylko z daleka, bo nie chciałam się zbliżyć do witryny.

Wie, jak wyglądam. O jedenastej jego długowłosy sprzedawca z bródką wyszedł na skwer i kupił trochę trawki od chłopaka w kapturze. Jestem pewna, że o to chodziło – szybka, krótka transakcja pod pomnikiem. Nie wiem, czy Laurent zna grzeszki swojego sprzedawcy, ale blondynka – przewróciła oczami i kręciła głową z dezaprobatą, kiedy wrócił – ona na pewno wie. W porze obiadu Laurent wyszedł, a ja poszłam za nim. Skręcił w ulicę de la Pentille, a potem w Passe-Musette. Śledziłam go z pewnej odległości. Widziałam tylko jego plecy. Żałowałam, że nie wzięłam Nikona 51 Xaviera, jedyne aparaty, którym kiedykolwiek umiałam się posługiwać. Mogłabym mu potem wysłać zdjęcia na adres księgarni, anonimowo. Usiadł w ogródku kawiarni Nadzieja i zamówił obiad. Oczekałam chwilę za rogiem, a potem usiadłam dwa stoliki za nim. Kelner zazartował, że to prawdziwe wydarzenie gościć go na obiedzie. Ucięli sobie krótką pogawędkę. Zrozumiałam, że przychodzi tam tylko wcześniej rano. Zamówiłam sałatkę Cezara i kieliszek białego wina – rachunek wklejam. Była 13.38, kelner jest na rachunku kelnerem 2. Sałatka Cezara: 9,30 €. Wino, 1 kieliszek: 4,20 €. Suma: 15,70 €.

Laurent zamówił pieczeń z sosem, kieliszek czerwonego wina i kawę. Przy jedzeniu czytał książkę w dziwnej białej okładce. Pewnie jeszcze niewydaną – księgarze chyba takie dostają. W ręku miał ołówek i podkreślał niektóre zdania. Kiedy się pochylałam, widziałam jego profil. Ma raczej prosty nos i wyraziste usta. Nie ogolił się. Ma też łagodne, prawie smutne oczy. Nagle zrobiły się wesole, kiedy kelner zazartował. Nie usłyszałam, co powiedział. Zawsze mi się podobali mężczyźni, których melancholijne oczy w kilka sekund robią się roześmiane. Xavier taki był, mój ojciec też. Dwa stoliki dalej siedziała blondynka w szarym kostiumie. Czytała jakieś dokumenty i dwa razy zerknęła na Laurenta. Wyglądała na taką, która potrafi jednym uśmiechem, w jednej chwili – szybciej, niż się prosi o pieprz albo sól – wzbudzić zainteresowanie mężczyzny. Nie mam cukru – powiedziała głośno. – Kelner, czy mogę prosić o cukier? Laurent nie zużył swojego cukru, ale nawet nie podniósł wzroku nad książki. Kelner postawił przed nią cukierniczkę. Pudło, pomyślałam. Nie mogłam się powstrzymać – musiałam się uśmiechnąć. Jak większość mężczyzn, którzy nie są tak naprawdę przystojni, a mimo to są pociągający, wydaje się nieświadomy swojego uroku. Blondynka w końcu wstała i poszła. Nie wsypała do kawy nawet grama cukru.

Boję się, że ten mężczyzna mi się podoba.

Sobota, 1 lutego

Poszłam się ostrzyć. Ostatnio byłam u fryzjera po tym, jak rozsypałam prochy Xaviera na przylądku La Hague. Nie pamiętam już, jak się nazywał salon, w którym byłam. To było gdzieś przy Barneville. Twarz fryzjerki też mi się zatarła. Cóż, rzeczywiście są krótkie... Ale chyba mi do twarzy. Poprosiłam Catherine, żeby nie wyrzucała moich włosów. Włożyła mi je do foliowej torebki. Spaliłam je w kominku.

Niedziela, 2 lutego

I nic.

Nie powinnam była obcinać włosów.

Poniedziałek, 3 lutego

Księgarnia jest zamknięta. To idiotyczne, powinnam o tym pomyśleć. Pójdę tam jutro.

Wtorek, 4 lutego

Pójdę jutro.

Środa, 5 lutego

Zapisałam tyle stron, że kończy mi się notes. Zapełniłam nawet wewnętrzną stronę okładki. Zostało mi już tylko kilka linijek. Siedzę na ławce na skwerze. Dwóch sprzedawców już wyszło. Laurent nie zamyka księgarni. Widzę go, stoi na drabinie w głębi sklepu. Tym razem wejdem.

Laurent ledwie podniósł głowę, kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają. Próbował dokręcić obcęgami pierścień łączący dwie rury. Coś musiało pęknąć, kiedy trzy tygodnie wcześniej hydraulicy robili przegląd w całym budynku. Nikt nic nie zauważył, bo woda ciekła powoli. Wsiąkała w tył półki z wydaniem kieszonkowymi. Część książek była nie do odratowania.

– Dzień dobry, szukam pewnej książki...

– Trafiła pani we właściwe miejsce – odpowiedział, z całych sił ściskając miedziany pierścień.

– Ale nie znam autora...

– O czym jest ta książka? – zapytał, podziwiając swoje dzieło. Pierścień przekręcił się o milimetr.

Laure zdjęła wełnianą czapkę i rozwiązała szalik.

– To historia właściciela księgarni, który pewnego dnia znajduje na ulicy damską torebkę. Znosi ją do domu, ogląda wszystko, co w niej jest, i postanawia znaleźć właścicielkę, ale kiedy mu się to udaje, ucieka.

Laurent zastygł na drabinie, a potem bardzo powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią. Po długim milczeniu, z sercem walącym jak młotem, powiedział:

– Nie mam tej książki. Wydaje mi się, że jeszcze nie została napisana.

Stało się to, czego się nie spodziewał, a na co mimo wszystko miał nadzieję: Laure Valadier zjawiała się w jego księgarni. Jak jej się udało go znaleźć? Nie miało to już znaczenia – stała przed nim. Zresztą w tej chwili nicnie miało znaczenia: ani to, że powinien zamknąć księgarnię, ani pęknięta rura. Na

ramieniu miała torebkę, która w ciągu ostatnich trzech tygodni wywróciła jego życie do góry nogami. Torebkę, którą znał na pamięć i która w jakimś sensie stała się również jego własnością. Zszedł o jeden szczebel niżej, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden. W końcu znalazł się na jej poziomie. Jasne oczy wpatrywały się w niego nieruchomo. Włosy miała krótsze niż na zdjęciach. Na jej ustach igrał tajemniczy i jednocześnie porozumiewawczy uśmiech.

– Nie wiem, co powiedzieć – wymamrotał.

– Ja też nie – odpowiedziała. – Więc zacznę od początku, od tego, co zwykle mówią sobie ludzie, kiedy się poznają. – Spuściła wzrok, a potem znów na niego spojrzała: – Cześć, Laurent.

Pierwsze zdanie, które zanotowała Laure Valadier w nowym czerwonym notesie, brzmiało: *Lubię się całować z Laurentem.*

Pocałowali się czterdzieści osiem godzin po pierwszym spotkaniu, przed jej kamienicą, dokładnie w tym samym miejscu, w którym dwadzieścia cztery dni wcześniej nieznajomy mężczyzna wyrwał jej torebkę.

Zamknęła oczy i głaskała Laurenta po plecach, a pięć pięter wyżej Belphégor ostrzył pazury na jednym z foteli w salonie, dokładnie tak samo jak Putin cztery dzielnice dalej – i wszystkim trojgu było tak samo przyjemnie. W chwili kiedy Laurent tulił ją w ramionach, Pascal Masselou dodawał trzy nowe kobiece imiona do folderu „do zdobycia”. Odnotował przy tym niepokojący spadek – o dwadzieścia pięć i trzy dziesiąte procent – w folderze „archiwum”. W chwili kiedy Laure wchodziła do holu, Chloé rozmawiała na czacie z chłopakiem w okularach. Miał na imię Alexandre. Był klasę wyżej od niej. Na kółku literackim odkryła, że on też lubi wiersze Stéphane’a Mallarmégo. Kiedy winda otwierała się ze szcękaniem na piątym piętrze, Frédéric Pichier darł na strzępy pierwszych czterdzieści stron swojej nowej książki. Postanowił wreszcie napisać współczesną powieść: o nauczycielu francuskiego z liceum na przedmieściach, który odkrywa, że jego uczennica Djamila ma talent literacki. Nie trzeba dodawać, że oczyma wyobraźni od razu zobaczył, jak przyznają mu Nagrodę Goncourtów. W chwili kiedy Laure przekręcała klucz w zamku i witała się z kotem – w okamgnieniu znalazł się na klatce – William siedział w kawiarnianym ogródku i czekał na Julię, dawnego kochanka, którego stracił z oczu przed dziesięciu laty i który właśnie odnalazł go na Facebooku. Kiedy go zobaczył, przemknęło mu przez głowę, że może to właśnie Julien jest mężczyzną jego życia. Trzy dzielnice dalej Patrick Modiano z długopisem w uniesionej dłoni zastanawiał się od pół godziny, czy powinien postawić przecinek po pierwszym słowie ostatniego zdania swojej najnowszej powieści. Laurent i Laure osunęli się na łóżko stojące w białym pokoju. Patrick Modiano wciąż zmagał się ze swoim interpunkcyjnym problemem. Usta Laurenta znalazły szyję Laure. Laure czubkiem prawej stopy ściągnęła z lewej pantofel. Z cichym stukotem spadł na podłogę. To samo zrobiła z drugim. W chwili kiedy drugi but – z takim samym stukotem – dołączył do pierwszego, Patrick Modiano postanowił nie stawiać przecinka.

Przypisy końcowe

1. Przeł. Tadeusz Boy-Żeleński. [\[wróć\]](#)
2. Przeł. Joanna Polachowska. [\[wróć\]](#)

Spis treści



ANTOINE LAURAIN

Kobieta
z czerwonym

notatnikiem